N. 42. WARSZAWA d. 7 (19) Października ROKU 1872.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Ogródki dziecinne.

Austryjacki minister oświaty dr. Stremayer, wydał teraz okólnik do namiestników, dotyczący sprawy freblowskich ogródków dziecinnych. W tém rozporządzeniu ministeryalném zawarte są tak piękne myśli, tak ważnéj dotyczą one sprawy, że czujemy się obowiązani jak najgoręcéj polecić go uwadze nietylko wszystkich tych, którzy na kierunek wychowania publicznego w kraju naszym wpływ przeważny wywierają, ale w ogólności wszystkich ludzi wykształconych, głównie zaś kobiet, jako naturalnych opiekunek dzieci w latach, kiedy jeszcze nie należą do szkoły.

Oto treść pomienionego aktu ministeryalnego:

„W duchu państwowéj ustawy o szkołach ludowych, są słowa ministra, leży niezawodnie myśl, że ważną część całego wychowania publicznego w ogólności stanowi zdrowe, rozumne wychowanie młodzieży w tym wieku, nim jeszcze dojdzie ona do lat obowiązujących do pobierania nauki w szkole, i że od tego w znacznej części zależy pomyślne wywiązywanie się szkoły ludowéj ze swego zadania. Za najodpowiedniejszy zakład wychowawczy dla dzieci w latach przedszkolnych, uznano we wszystkich cywilizowanych państwach zgodnie z opinją najznakomitszych pisarzy lekarskich i pedagogicznych *ogródki dziecinne*. (') Jeżeli początki wychowania w najwcześniejszym wieku dziecięcym, mając z natury swéj istoty więcéj charakter „pielęgnowania" należą do rodziny—a po części i do ochronek, to znów ogródek dziecinny przyjmuje swoich wychowanków w tym celu, aby ich władze cielesne i umysłowe rozwijać prawidłowo, i żeby kiedyś mogły z dobrym skutkiem brać udział w nauce szkolnéj.

Ochronki dla niemowląt i dla drobnych dzieci mają przeważnie charakter zakładów *pielęgnowania*, gdy zadanie ogródka dziecinnego wyżéj sięga, obejmując w sobie ideę *wychowania*. Wychowanie powinno dostarczać dzieciom pożytecznego zajęcia i rozbudzać w nich rozsądną myśl, obok ćwiczeń ciała, rąk i zmysłów. Uwzględniając usposobienie dzieci, powinno dążyć do ożywienia w nich wesołości, do rzetelnego rozwijania w nich władz umysłu i woli przez przykład i naukę, a szczególniéj przyzwyczajania do cnót towarzyskich, które są zarówno ozdobą młodości, jak fundamentem zdrowego wychowania publicznego.

Ogródek dziecinny dostarcza dzieciom wszystkiego, co umiejętność wychowawcza uznaje za możliwe i potrzebne i oddala wszystko, co dzieciom na dobre nie wychodzi.

Troskliwe wychowanie, jakie daje ogródek dziecinny, nie powinno na przyszłość być wyłącznym udziałem klas zamożniejszych i skutkiem tego powinny zajść zmiany ku lepszemu; wychowanie dzieci w ogródkach freblowskich nie może pozostać na przyszłość wyłącznym zadaniem towarzystw dobroczynnych, ani też sprawą zarobkową ludzi, więcéj zajętych własną korzyścią jak swoich wychowańców. Z tego powodu nieujmując w niczém usiłowaniom stowarzyszeń i osób prywatnych na tém polu, zwrócić się należy do ogółu ludności, do wszystkich władz szkolnych, a szczególniéj do reprezentacyi gminnych, aby je nakłaniać do zakładania *publicznych* ogródków dziecinnych. Wszystkie władze, obowiązane do zajmowania się szkołą, powinny jak najtroskliwszą zwracać baczność na kwestyę w mowie będącą i działać wszędzie na jéj korzyść, zachętą z wszelkiém możliwem poparciem."

Przedewszystkiém zwraca się minister do miast, które są w stanie ocenić ważność zdrowego wychowania dzieci, aby zakładały u siebie publiczne ogródki dziecinne; następnie przedstawia potrzebę zakładania takich szkółek w miejscowościach fabrycznych, i w ogólności wszędzie, gdzie rodzice nie są w stanie utrzymywać należytego nadzoru nad swojemi dziećmi.

Z samoistnémi publicznemi szkołami dla dziewcząt, powinny wszędzie wedle zdania ministra, połączone być szkółki freblowskie dla małych dzieci. Niemniéj też pragnąć należy, mówi ministeryalne rozporządzenie, aby istniejące już ochronki dziecinne, w których bardzo dotkliwie uczuwać się daje brak roztropnego kierownictwa, zreorganizowane zostały systematycznie na freblowskie ogródki dziecinne.

Już przez samą zamianę wspomnionych zakładów dobroczynnych, na właściwe instytucye wychowawcze dla małych dzieci, przy materyalném poparciu ze strony kraju, powiatu lub gminy, uczyniłoby się znaczny krok postępu na drodze wprowadzenia wychowania publicznego na drogę rozumną i istotnie pożyteczną. Niemniéj też można spodziewać się, że stowarzyszenia i prywatni dobroczyńcy, mianowicie tam gdzie będą mogli liczyć na poparcie gmin, nie będą szczędzić trudu i ofiar, aby dotychczasowe ochronki dziecinne zreformowane zostały w racyonalny sposób.

Pragnąćby też należało, aby tworzyło się jak najwięcéj stowarzyszeń kobiecych, dla popierania sprawy ogródków dziecinnych we wszystkich krajach gdzie takowe istnieją: kobietom głównie zawdzięczać to można.

Gdzie byłyby urządzone publiczne ogródki dziecinne, tam powinien być zapewniony *zupełnie bezpłatny* przystęp i to dla dzieci wszystkich klas społecznych bez żadnego wyjątku.

Gorąco tego pragnę, mówi minister oświaty, aby potrzebę podniesienia stanu oświaty powszechnéj, ogół ludności państwa należycie pojął i odczuł, a w ślad za tém uznaniem jéj pożyteczności, aby szedł czyn rzeczywisty. Wdzięcznem to będzie więc zadaniem krajowych władz szkolnych, aby w wykonaniu niniejszego rozporządzenia, weszły w bezpośrednie porozumienie z reprezentacją krajową i większemi gminami miejskiemi, w interesie zakładania ogródków dziecinnych. Do popierania zaś téj sprawy, w szerszych sferach powołani są z natury rzeczy okręgowi nadzor-

cy szkolni. Na nich wkładam więc szczególny obowiązek gruntownego obznajomienia się z istotą ogródków dziecinnych, aby zbadali braki istniejących w ich okręgach ochronek dla małych dzieci, i o ile one kwalifikują się do zmiany na ogródki freblowskie, aby wszędzie zachęcali ludność do zakładania tychże, a w końcu aby nie omieszkali wyjednywać tam poparcie u władz wyższych dla sprawy ogródków dziecinnych, gdzie poparcie to byłoby pożądanem. Pomyślne rezultata w tym względzie, mają być liczone okręgowym nadzorcom szkolnym, za szczególną zasługę.

W ścisłym związku z dążeniem zarządów szkolnych do zakładania ogródków dziecinnych, są starania o wykształcenie tych, co mają kierować temi szkółkami.

Gdy do zarządu ogródka dziecinnego, który może być bezpiecznie powierzany mężczyznom, wystarczy jakie takie obznajmienie się z właściwościami tego rodzaju instytucyi, to do właściwego wychowania dzieci w tych zakładach, usposobione są wyłącznie tylko kobiety. Obowiązek ten wymaga umysłu przystępnego dla wszystkich pojęć dziecka, zrozumienia wszystkich instynktów i usposobienia wieku dziecinnego, cierpliwości i łagodności, która nader silnie ujmuje dziecię, jakoteż i praktycznego uzdolnienia do zajmowania się dziećmi. Wszystkie to są przymioty, właściwe tylko kobietom. Gdzie więc istnieją pedagogiczne instytuty żeńskie, mają w nich być wedle tego rozporządzenia natychmiast przedsięwzięte środki do kształcenia dozorczyń dzieci. W tym celu wymagać się będzie od tych kandydatek do stanu nauczycielskiego, które objawią chęć poświęcenia się specyalnie sprawie ogródków dziecinnych, aby oprócz wiadomości pedagogicznych, jakich w ogóle wymaga się od każdej nauczycielki, przyswoiły sobie jeszcze specjalną teorytyczno—praktyczną znajomość istoty ogródków dziecinnych, i sposobu wychowywania dzieci według tego systematu. Na przedostatnim albo ostatnim roku kursu pedagogicznego, ma być ta nauka w osobnych godzinach wykładaną, a przy niektórych zakładach mają być urządzone osobne jednoroczne kursa dla kandydatek do wychowywania dzieci w freblowskich ogródkach, pragnących się usposobić.

---

(1) U nas w Warszawie dwa dopiero mamy podobne ogródki dziecinne, jeden przy ulicy Nowy-Świat, drugi przy Święto-Jerskiej. Obadwa utrzymywane staraniem prywatnem dostępne są zamożniejszym jedynie rodzinom.

SMUTEK

z francuzkiego.

Są dni w których uciskiem tak zgnębiona dusza,
Że tęsknica jak kamień ciężko ją zalega,
I rzekłbyś: że ją wyrzut przeszłości porusza,
Że z jej wspomnień młodzieńczych jęk bólu wybiega
Którego ni śmiech szczęścia ni bieg lat nie zgłusza.

I zkądże mnie ten smutek, zkąd łza zniechęcenia?
Wszak serce drga miłością, uczucia w świat lecą,
A jeżli z trudem idę w poprzek przeznaczenia,
To przecież nad mą drogą jasne gwiazdki świecą
I blask ich ciernie życia cudnie opromienia.

Bogactwo—rozkosz—chwała—nie nęcą mnie wcale.
O śmierci zawsze myślę z spokojem dzieciny;
Na życie się też swoje ni troszkę nie żalę,
A przecież czegoś cierpię i nie wiem przyczyny...

J. Kamocka.

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

(*Dalszy ciąg*).

— Nie wątpię że ty i panna Helena będziecie doskonale grali.

— Ale pan obiecałeś mi dać brawo, panie Hieronimie, wszak słowo powinno być święte, pan sam to mówiłeś tyle razy.

— Czy ja tylko z pewnością dałem ci słowo Ignasiu?

— Z największą pewnością.

— W takim razie dotrzymać go muszę, rzekł z westchnieniem Hieronim, i widząc że nie potrafi się oswobodzić od natrętnej miłości swego ucznia, zaczął się ubierać.

Ceremonja ta długą niebyła, młody nauczyciel nie miał ani miłości własnej, ani żadnych toaletowych wymysłów, które tak przedłużają zwykle tę prostą czynność.

Ignaś przez ten czas chodził niecierpliwie po pokoju, jakby mu pilno było ztąd wybiedz, i dostać się czem prędzej do przygotowanej zabawy, to pomagał Hieronimowi, to przerzucał mu książki.

— Jak też pan możesz czytać takie nudne rzeczy, wyrzekł wreszcie. „Phisique sociale“ Question ouvrière. Le système du salaire et de la participation, mógłbyś mnie pan zamknąć z niemi tydzień cały, a ręczę iż żadnéj bym nie ruszył.

W apartamencie pierwszego piętra, zajmowanym przez właściciela domu Arnolda Kalińskiego, czyniono przygotowania do wieczoru. W eleganckim pokoju przed toaletą obrzuconą koronkami siedziała śliczna dziewczyna, ramiona jej przysłaniał batystowy penioar, a włosy rozczesane spadały bogatą kaskadą na szyję, czoło i twarz. Z pomiędzy nich wyglądały śliczne oczy, różowa buzia, zgrabny nosek i zafrasowana minka panny Heleny, była ona zafrasowaną, zadąsaną nawet jak to dowodziło ściągnięcie ciemnych brwi i energiczne poruszanie nóżki, ubranej w atłasowy bucik, uderzającéj niecierpliwie wposadzkę, ale ponieważ cały pokój zasłany był dywanem, ten maleńki dowód złości, przechodził niepostrzeżony.

Zresztą nie miała na kogo się gniewać, była samą, aż wreszcie weszła służąca niosąc jakieś toaletowe przybory.

— Panno Julio, odezwała się z żywością, czy nie przyniesiono jeszcze mego fartuszka i czepeczka.

— Nie pani, odparła zagadniona.

— Otóż to nieszczęście, zawołała żałośnie Helena, prawdziwe nieszczęście, a jak na czas nie przyniosą?

— Ale pani może być spokojną.

— Jakto spokojną? przerwała ze łzami w oczach, i nie wiem nawet komu panna dała to wszystko do roboty.

— To pewna i pilna dziewczyna, usprawiedliwiała się służąca, zresztą nie było wyboru, teraz karnawał, nikt nie chciał się podjąć zrobić tak prędko.

Widać złość panny Heleny nie była bardzo straszną, bo zamieniła się w głęboki smutek z którym odezwała się po chwili.

— Panno Julio, mnie aż głowa rozbolała z niepokoju

Panna Julia pełna współczucia dla swej pani, podała jej flakon wódki kolońskiej, którą młoda dziewczyna wzdychając nacierała sobie skronie.

— Niech mnie panna czesze, wyrzekła wreszcie z rezygnacyą i wkrótce umiejętna ręka panny Julii, zaczęła układać śliczne włosy w warkocze, pukle i loki. Helenka oddawała jej swoją głowę bez sporu i tylko czasem żałosnym głosem robiła niektóre uwagi.

— Ten pukiel więcej do góry, ten lok trochę bliżéj.

Gdy nagle drzwi otworzyły się nieśmiało, a we drzwiach ukazała się postać Józi niosącéj pudełko w ręku.

— Przepraszam odezwała się z cicha, nie było panny Julii, kazano mi przyjść aż tutaj.

Helenka nie dała jej dokończyć, zeskoczyła ze stołka rozrzucając tym jednym ruchem, pracowicie układane pukle i pochwyciła pudełko.

— Mój czepek, mój fartuszek, wołała wyjmując fale koronek i rozkładając je w ręku.

Józia tymczasem stała przy drzwiach wodząc w koło olśnione oczy. Pokój Heleny stanowił dziwny kontrast z izdebką jej rodziców. Pierwszy raz widziała tak piękne rzeczy, których istnienia nie domyślała się może. Na tej toalecie przystrojonej jak ołtarz, rozstawione były szczotki i grzebienie, puszki srebrne i tysiące tym podobnych rzeczy niepojętego dla niej użytku. Podwójne firanki z ciężkiej materyi przystosowane barwą do obicia ścian, zwieszały się w bogatych fałdach przy oknach. Także portyery osłaniały drzwi, łóżko ginęło za draperyami, kilko ramienne świeczniki płonęły przed toaletą, a przy ich blasku migotały fraszki zapełniające zwykle pańskie pokoje. Na stole, na kanapie i fotelach rozłożone były stroje, tam pudełko pełne kwiatów, tu wstążki, gazy, atłasy, wszystko to wydawało jej się widzeniem czarodziejskiem, razem z tą śliczną istotą poruszającą się z taką swobodą wśród otaczającego ją zbytku.

Wszak ona także była piękną, wiele piękniejszą od Heleny, a jednak gdy w przeciwległym lustrze ujrzała się obok niéj, w téj biednéj sukni, w wytartem okryciu, cofnęła się przerażona by ujść porównania. Wydawała się plamą prawie w tym wytwornym pokoju, obok tej dziewicy obrzuconej przezroczystą tkanką batystu, której włosy wpół uczesane zwijały się w misterne pukle.

— Dla czegoż panna tak późno odniosła robotę? wyrzekła z przymówką panna Julia, chcąc pomścić na niéj niecierpliwość swej pani i dać zarazem dowód swojej gorliwości.

— Nie mogłam wcześniéj wykończyć, odparła nieśmiało Józia, haft był bardzo pracowity, śpieszyłam się sama.

Niepowiedziała nawet dla czego śpieszyła się z robotą: te proste wyrazy „potrzebowałam pieniędzy“ nie chciały przejść jej przez usta, w obec téj świetnéj istoty, która zapewne nie mogła zrozumieć ich znaczenia.

— A ja mówiłam dodała panna Julia, że trzeba skończyć ją na czas. Pierwszy raz panna miałaś od nas robotę, ale nie wiem czy drugi raz mogę ci coś ważnego powierzyć.

Oczy Józi napełniły się łzami.

— Doprawdy... zaczęła tłomaczyć się.

Ale Helenka uszczęśliwiona ze swego stroju nie dała jej dokończyć.

— Nie łaj że jej moja Julio, zawołała z dobrocią, patrz płacze.

I zwracając się do Józi dodała.

— Niech panienka trochę zaczeka, przymierzę czy nie trzeba coś poprawić.

Józia czekała chętnie, zdawało jej się że weszła

przypadkiem do jakiegoś zaczarowanego pałacu. Światło, stroje, wonie, była to dla niéj atmosfera nieznana, upajająca, marzenia jéj nawet nie szły tak daleko. Czyż na tym samym świecie mogły istnieć takie nędze i takie rozkosze, czyż ona rzeczywiście wyszła przed chwilą z wilgotnéj, zimnej izdebki, gdzie panował głód i rozpacz by przyjść tutaj? Czy pomiędzy temi dwoma kontrastami istniała tylko odległość kilkudziesięciu kroków?

Naturalnem następstwem tych pytań było jeszcze edno. Dla czego to ona była mieszkaką tamtéj izdebki a nie tego pokoju, dla czego ona haftowała przy ciemnéj łojówce piękne rzeczy, w które stroiła się ta druga próżnująca dziewczyna przy blasku tylu świec? Ale to ostatnie wydawałoby się Józi prawie bluźnierstwem, Helena tak pasowała z otoczeniem swojem, że nie mogła ją sobie wyobrazić wśród innych przedmiotów. Z szybkością przebierała drobiazgi rozstawione na to alecie, kręciła się po pokoju, aż wreszcie ukazała się w wabnym stroju przeszłowiecznéj subretki i tak stanęła przed lustrem. Przez chwilę przypatrywała się saméj sobie z uwagą, od stóp do głowy bacznym wzrokiem, i zapewne nie znalazła nic do zarzucenia, bo uśmiech zadowolenia przebiegł jéj usta.

Józia czekała ciągle, prawdę mówiąc Helena w tej ważnéj okoliczności zupełnie zapomniała o biednej hafciarce, a ona nie śmiała się przypomnieć gdy głos Ignasia odezwał się pode drzwiami.

— Siostrzyczko czyś już ubrana?

— Chodź Ignasiu, dobrze żeś przyszedł, zobacz jak mi prześlicznie.

Wymówiła te słowa bardzo naturalnie, bo się jej zdawało rzeczą naturalną, by ją świat cały uwielbiał...

Ignaś też wpadł jak bomba do pokoju, ale oczy jego padły naprzód na hafciarkę stojącą przy drzwiach bocznych, a że siostry zazwyczaj są dla braci najmniej ciekawemi przedstawicielkami płci pięknéj, więc zamiast uwielbiać jej strój i wdzięki, spytał po francuzku.

— Co to za dziewczyna?

Helenka niechętnie odwróciła głowę od zwierciadła.

— To hafciarka, odparła, ale patrz że na mnie.

— Śliczna jesteś, zachwycająca jak zawsze siostrzyczko, i dodał znowu po francuzku.

— Pierwszy raz ją tu widzę.

Siostra jednak nie uważała za stosowne dawać mu dalszych objaśnień, obracała się przed lustrem by coraz z innéj strony obaczyć piękność swego kostiumu.

Ignaś podszedł parę kroków niby przyglądając się uczesaniu siostry, w rzeczy samej by zbliżyć się do Józi.

— Czy wiesz, że ona jest cudownie ładna, wyrzekł nie mogąc ukryć wrażeń swoich.

Rzeczywiście taką była Józia. Olśniona blaskiem tego eleganckiego pokoju, mogła wstydzić się swego ubogiego ubrania, przecież dla nie uprzedzonych oczów, dla tych co przywykli do wykwintów życia tak bardzo, że na nie przestali zwracać uwagę, piękność hafciarki nic nie traciła wśród nich, a ostatnie słowa Ignasia których dorozumiała się znaczenia, wywołały na jej twarz gorący rumieniec.

Jeśli ona wydawała się piękną Jgnasiowi, on dla niéj był zachwycającym. W czarnych oczach jego gorzało tyle szczęścia, swobodny uśmiech był taką nowością dla istoty przyzwyczajonéj widzieć oblicza zafrasowane codzienną troską, iż ona nawzajem nie mogła oderwać oczów od tego ślicznego chłopca.

— Ma parole! pochwycił Ignaś, zarumieniła się jak wiśnia, już to kobiety mają talent odgadnąć komplement, choćbyś mówił po chińsku, zrozumieją cię.

— Ej Ignasiu, pogroziła mu siostra alabastrowym paluszkiem.

Brat roześmiał się wesoło, pokazując dwa rzędy perłowych zębów.

— Ej Helenko, odparł żartobliwie nie zdejmując oczów z hafciarki.

— Jesteś nieznośny, wyrzekła robiąc nadąsaną minkę.

— Nieznośny, powtórzył, czy dla tego iż przyprowadziłem gwałtem pana Hieronima.

Z kolei lica Helenki pokryły się delikatnym różowym odcieniem, odwróciła głowę by to ukryć przed bratem, ale on znowu cały zajęty był hafciarką.

Rozmowa ta uderzała dziwnie Józię. O kim tutaj mówiono? Czy być mogło by ten sam pan Hieronim którego ona znała, który nieraz godziny całe rozmawiał z jej ojcem, miał wstęp do tego świetnego domu, mógł wywołać rumieniec na twarzy téj wykwintnéj panny? To było niepodobnem.

Helenka teraz dopiero nacieszywszy się swoim strojem, pomyślała o hafciarce.

— Panno Julio, wyrzekła, zapłać że jej panna.

— Cóż ci ona zrobiła? wtrącił z żywością Ignaś.

Siostra pokazała mu dobrodusznie batystowy fartuszek, misternie haftowany, oszyty koronkami, i czepeczek zgrabnie ułożony na głowie.

Widząc że mu się dyplomacya udała, Ignaś począł wychwalać robotę.

— Powinnaś wziąść jej adres, dodał podstępnie.

— Ma go Julia, odparła siostra niedbale.

— I wiele jej zapłacisz?

— Nie wiem, piętnaście złotych podobno, czy nie tak panno Julio?

— Tak pani.

— Wiesz co siostrzyczko, ty strasznie źle płacisz, to się nie godzi i jeszcze tak ładnéj panience.

— Waryat z ciebie Ignasiu.

— Ignaś roześmiał się znowu, dobył portmonetki i wyrzekł wsuwając Józi papierek trzyrublowy w rękę, to już ja od siebie dołożę kiedy taka jesteś skąpa Helenko.

Józia stała zmieszana, Julia oddała jéj już zapłatę, czuła że tego naddatku nie powinna była przyjmować od Ignasia, że zarobiły go jéj ładne oczy nie ręce.

— Doprawdy, szepnęła, to za wiele.

— Ba! teraz karnawał, będziesz to panienka miała na pączki. Jakże się nazywasz?

— Józefa Pliszka odparła.

— Pliszka, Pliszka, powtórzył Ignaś, nosisz nazwę wesołego ptaszka.

— Mais finissez donc, zawołała zniecierpliwiona siostra.

— Bah! c'est fini, wyrzekł wykręcając się na miejscu. Józia położyła rękę na klamce i zawahała się jeszcze, ciężyły jéj pieniądze Ignasia. Sumienie szeptało iż należało je zwrócić, a pokusa ukazywała wszystko co z niemi uczynić może. I pokusa ta niejako usprawiedliwiała biedną dziewczynę, marzyła teraz nie o żadnym stroju, ale o ciepłem ubraniu dla matki, o troszce drzewa, o pożywnéj strawie dla biednych siostrzyczek, czyż mogła to wszystko odrzucić? A potem czyż ona śmiałaby spojrzeć w oczy Ignasia i odmówić darów jego? Stała z ręką na klamce z oczyma łez pełnemi, choć nie wiedziała sama co je wyciskało.

— No idź już, idź panna, wyrzekła niechętnie Julia, któréj szczodrobliwość młodego chłopca osobliwie się nie podobała.

Józia nie dała sobie tego dwa razy powtórzyć, była już na ulicy, ale przed oczyma jej wiły się tylko co widziane obrazy i zasłaniały jej świat rzeczywisty. Z tej krótkiéj chwili przebytej w zbytkowym gabinecie strojnisi, unosiła zatrute żądze. Spojrzenie Ignasia paliło jej lica, a pochwały zamąciły spokój serca. Więc ona była także piękną, posiadała potęgę, to upajało ją chorobliwie.

Dotąd Józia mało myślała o tem, cieszyła się widząc w lustrze swój obraz, miała ochotę dodać do swoich wdzięków jaki kwiatek lub wstążkę, przykro jej było nosić ubogie suknie, ale nie zastanowiła się nigdy nad tem, że ta piękność mogła przynieść jej dostatki, że za pomocą téj piękności ona także mogła mieć pokój ustrojony jak kaplicę, toaletę nakształt ołtarza, którego ona byłaby bóstwem. Może to wszystko nie sformułowało się tak jeszcze w głowie biednej dziewczyny, może nie zapragnęła okupić je swoją hańbą, ale od dnia tego pewne myśli nie były już dla niej obce, pewne pokusy znalazły przystęp do jej ducha, od dnia tego zrozumiała że spojrzenie jej więcej warte od pracy. Była to zgubna nauka.

Wczasie gdy Helenka kończyła się ubierać, ojciec jej także na wpół ubrany, stał wsparty łokciem o gzems kominka, na którym palił się wesoły ogień. Na kominku stał starożytny żegar, którego wskazówki posuwały się nieznacznie, a srebrny młotek wydzwaniał kwadranse i godziny.

Właśnie uderzyła dziewiąta, on nie zważał na to, i zdawał się zapominać o wszystkiem zgubiony w przepaściach myśli. Był to człowiek lat czterdziestu kilku, dobroć, rozum i uczciwość zdawały się przeglądać przez szlachetne rysy jego, przez szerokie czoło, przez oczy przymglone smutnym wyrazem, bo znać było w tej twarzy jakąś troskę tajemną, jakieś zmęczenie czy trwogę, uciskającą umysł niewidzialnym ciężarem. Powieki zwieszały się nad szafirowemi źrenicami, gasząc ich blask niespokojny, który kłócił się z otwartem czołem, z dumną postawą i z poważnym wyrazem ust. Oczy jego miały zmienny wyraz, grały w nim światła i barwy, rzucające dziwne cienie na całą fizognomię. Czasem płonęły one tak, jak gdyby namiętność wrzała w piersi tego człowieka wzorowych obyczajów, czasem była w nich miękkość kobieca prawie, jakby cały hart jego, mógł stopić się i zniknąć wobec jakiego spojrzenia lub prośby. Niekiedy oczy te były groźne, rażące jak ton fałszywy, zwracały się z rodzajem przestrachu na obecnych, i kryły pod długie powieki, ale zazwyczaj były przymglone, i twarz pana Arnolda zdradzała tylko znużenie i smutek. Przecież czego on się mógł smucić? Życie jego było jednem pasmem powodzeń. Ożeniony z kobietą z którą łączyła go gwałtowna miłość, słynął jako wzór szczęśliwego męża, żona obdarzyła go dwojgiem dzieci, któremi mógł się pochlubić, a sama wyglądała jak starsza siostra swej córki, majątek jego zawsze dostateczny na wygodne życie, wzrósł w ostatnich czasach wskutek szczęśliwych spekulacyi tak bardzo, iż zbytki jakiemi otoczył ukochaną rodzinę nie nadwyrężały go wcale. Czegoż braknąć mu mogło do zupełnego szczęścia, co mogło tłoczyć jego umysł, lub zatrważać serce? Znajomi i przyjaciele, a naturalnie pan Arnold zgodnie ze swojem położeniem miał ich wielu; zapytywali się o to jeden drugiego, zagadywali nawet o to ostrożnie jego samego, ale on tak energicznie zapewniał iż niczego nie brak mu w życiu, że zaprzestano tykać tajemnych trosk jego, myślano o tem czas jakiś, aż nakoniec nie mogąc nic dośledzić, zawyrokowano jednogłośnie, iż musiał cierpieć na żółć lub śledzionę, skoro nie był zupełnie ze swego losu zadowolony. Jednak nie wyglądał wcale na śledziennika, czerstwość jego twarzy zadawała widoczne kłamstwo domysłom

przyjaciół. Stał zapatrzony w przestrzeń, a oczy jego przybierały coraz widoczniej ten wyraz trwogi i boleści, który nigdy w nich postać nie był powinien...

Tym czasem drzwi otworzyły się szybko i ukazała się w nich pani Stefanja Kalińska. Była ona w całym blasku balowego ubrania, który podwyższał jej wykwintną piękność i dodawał uroku pieszczonym ruchom, zdawała się płynąć po pokoju i wśród lekkiego szelestu jedwabi, zbliżyła się do męża.

— Jeszcześ nieubrany Arnoldzie, wyrzekła głosem dźwięcznym jak muzyka.

Na ten widok, na brzmienie tego głosu mąż zbudził się z przykrego marzenia:

— Przebacz mi, zapomniałem się szepnął patrząc na nią zachwyconym zwrokiem.

Rzeczywiście była ona prześliczna, nie była to kobieta walcząca z nieubłaganym czasem, ale wszechwładna piękność, urągająca latom, które zdawały się przechodzić nad nią nie zostawiając śladu żadnego.

Nikt patrząc na panią Kalińską, nie zadał sobie myślą pytanie, w jakim mogła być wieku, każdy widział tylko piękność wyższą nad wszystkie inne, jaśniejącą jak gwiazda pierwszéj wielkości. Korona czarnych włosów ciężyła nad gładkiem czołem i zwieszała się na ramiona, których wspaniałe kształty miały jednostajny połysk słoniowej kości. We włosach nad czołem błyszczała brylantowa gwiazda jako jedyna ich ozdoba, z blaskiem tej gwiazdy rywalizował blask jej źrenic, które z pod czarnych rzęs rzucały spokojne światło na lica, zaledwie zabarwione śladem delikatnego rumieńca. Strój jej dobrany był z tą znajomością barw i tonów, stanowiącą prawdziwą sztukę, składały go fale koronek i atłasów, wlokące się za nią niby lśniący obłok roznoszący w koło wytworną woń werweny. Przystąpiła do męża i oparła toczoną rękę na jego ramieniu. Jeśli głos jej był muzyką, ruchy można było nazwać cudowną harmonją, było w nich coś czarującego, jakiś wdzięk nie przeparty przykuwał do niéj oczy, można było patrzeć na nią i patrzeć jeszcze.

— Czy znowu napadła cię posępna chwila mój drogi? szepnęła nachylając się pieszczotliwie ku niemu.

Ale nie potrzebowała więcéj o nic pytać, jej obecność odpędziła daleko od niego dręczące mary, jeśli te trapiły go kiedy. Ujął jej rękę i złożył na niéj długi namiętny pocałunek, patrząc na nią wzrokiem kochanka. Czyż po tylu latach małżeństwa, byłaż dotąd jeszcze kochanką swego męża? Wzrok jego musiał być wymownym, bo zarumieniła się pod nim i położyła mu z uśmiechem aksamitną dłoń na oczach.

— Pozwól mi patrzeć na siebie, wyrzekł mąż, jesteś tak piękną, tak strasznie olśniewająco piękną.

Pani Kalińska uśmiechnęła się, zachwyt męża był tak prawdziwym, iż pierś jej zafalowała wzruszeniem.

— A jednak Arnoldzie, odparła, ty często zamiast patrzeć na mnie, tworzysz sobie jakieś smutne obrazy. Dla czego nieraz czoło twoje się chmurzy, wzrok zachodzi mgłą lub płonie niepokojem?

Nieznaczny dreszcz przebiegł ciało Kalińskiego.

— Zdaje ci się Stefanio, odparł z odcieniem niecierpliwości w głosie.

d. c. n.

Przegląd literacki.

Człowiek i Małpa. Ostatnie słowo Darwina przez Dra Stefana Pawlickiego Lwów 1872.

(Dokończenie.)

Streściwszy doktrynę Darwina, p. Pawlicki przystępuje do wykazania jej stron ujemnych. Głównie zarzuca on słynnemu uczonemu brak logiczności w pojęciach i określeniach. Darwin zanadto już rozszerza sferę indukcyi, i obserwacye tyczące się ras zwierząt domowych, rozciąga do całego królestwa zwierząt, rozumując w ten sposób: „skoro *człowiek* tak wielkie sprowadza zmiany w typach zwierzęcych za pomocą sztucznéj elekcyi, czegoż nie potrafi w naturze elekcya przyrodzona? Daléj słusznie uważa p. Pawlicki, że to ostatnie wyrażenie jest ogólnikiem mało zrozumiałym, nie mającym ściśle oznaczonéj i dokładnie pojętéj treści. Elekcya naturalna, według Darwina, to „czynnik, który przechowuje każdą odmianę w organizmie, byleby była korzystną“ (L'origine des espèces p. 92.) Istotnie co to za czynnik, zkąd on wypływa, zkąd konieczność jego istnienia, co rozumie Darwin przez naturę, czy owa elekcya jest dziełem natury, czy aktem woli zwierzęcia tylko z naturą zgodnym, oto kwestye, które rodzą się w umyśle obeznanego z logiką i wymagającego myślenia logicznego, na które przyrodnicy nie mają czasu zwracać uwagi. Napotykane u Darwina określenie natury jako „prawa wedle którego zmienne jednostki doznawają opieki“ (u p. Pawl. str. 21) znowu pozostawia wiele do życzenia. Temu brakowi logicznéj wytrawności poświęca p. Pawlicki parę stronnic gruntownej krytyki, choć bez potrzeby odwołuje się do religii (str. 23) i pozwala sobie cokolwiek dziwnego uniesienia, twierdząc, że niekonsekwentność i brak logiki pochodzą z zarzucenia łaciny (sic) wyrugowanéj przez protestantyzm (str 20—21.) Może sobie autor mieć osobistą predylekcyę do języka łacińskiego, ale twierdzić, że tylko po łacinie można napisać coś logicznego, to już przesadny paradoks. Język łaciński już nawet nie nadaje się do wyrażenia wszeikich subtelnych odcieni myśli ludzkiéj w jéj obecnym rozwoju, a bogato rozwinięte języki nowożytne słuchają również praw logiki i zdolne są do najściślejszéj konsekwencyi. Żałujemy istotnie, że autorowi wymknęło się owo zdanie o łacinie, którego przeciwnicy p. Pawlickiego nie omieszkają wyszydzić i użyć za broń przeciwko autorowi, co podobno już i miało miejsce. Daléj wskazuje p. Pawlicki, że pomiędzy doskonaleniem zwierząt przez człowieka i doskonaleniem się ich w przyrodzie, nie ma nawet tak ściśléj analogii, żeby z pierwszego wnosić o drugiém. Człowiek ulepsza rasy zwierząt dla własnych widoków, chodzi mu już to o tłuszcz, już to o delikatność mięsa, już to o wzrost lub siłę, a natura, według Darwina, ma korzyść samych zwierząt na względzie. Nikt nie powie np. że wieprz Leicester, podobny do wypchanéj kiełbasy, doskonalszy jest od odyńca lasów. Przypomina tu autor zdanie Buffona, który rasy zwierząt domowych uważa wręcz przeciwnie, za wyrodzenie się, za deprawacye typów w stanie dzikim. Sam przecież Darwin ostrzega, żeby zbytecznie nie polegać na analogii (L'origine des espèces p. 669). Następnie autor wykazuje nieokreśloność i chwiejność pojęcia rodzaju u Darwina i trafnie bardzo kładzie nacisk na to, że darwinizm niejako znosi wszelkie grupy, rodzaje gatunki i familje, a zostawia natomiast same jednostki. Z filozoficznego punktu zapatrując się na tę dążność, p. Pawlicki widzi w niéj wpływ heglizmu, który znosi różnicę między bytem i niebytem i tém samém pobłażliwie patrzy na pomięszanie pojęć i łączenie przeciwieństw. Podobnież w teoryach materyalistów, którzy uważają za największy tryumf nauki zrównanie zwierzęcia i rośliny, zwierzęcia i człowieka, p. Pawlicki widzi „przeniesiony do głów niemieckich, francuzki radykalizm, zastosowanie zasad 1789 r. do zwierzęcego królestwa. „Naszém zdaniem, darwiniści i materyaliści mało mogli opierać się i na heglizmie, który jest dla nich obojętny, i na zasadach francuzkiéj rewolucyi, zupełnie do innéj sfery należących: autor może tu trochę popadł w przesadę i chociaż porównania te są dość trafne, trudno tu jednak dopatrzeć przyczynowego związku.

Rozbiera dalej autor rozmaite określenia *rodzaju* żyjących istot, mówi o rozmnażaniu się hybrydów i wytyka Darwinowi ważną sprzeczność w jego twierdzeniach o zwierzętach i człowieku: łatwość zlewania się i krzyżowania ras ludzkich jest u niego dowodem jedności rodzaju ludzkiego, a co do innych tworów żyjących sam Darwin twierdzi że „nie można znaleść przykładu hybrydów, któreby pochodziły z dwóch widocznie różnych rodzajów, a mimo to były rozmnażające się (L'origine des espèces str: 48.) Jeżeli więc wnosi logicznie p. Pawlicki, że oznaką wspólnego z tegoż rodzaju pochodzenia jest łatwość krzyżowania i reprodukcyi to brak téj oznaki dowodzi niepochodzenia, a wtedy przemiana jednego rodzaju w drugi jest fizycznem niepodobieństwem„ (str 33). Autor nasz słusznie lekceważy niedołężne uciekanie się darwinizmu do gadaniny o niezmiernie długim czasie „potrzebnym do przemiany gatunków: istotnie czczy ten wybieg nie jest żadnym argumentem. Podobnież wykazuje autor, że przypuszczalne pośrednie formy nie zostały dotąd przez naukę wykryte: darwiniści prawią że one *musiały* istnieć, że tylko *dotąd* nie zostały wykryte, co znowu jest tylko czczą gadaniną. Przytoczone są przez autora świadectwa Gopperta—badacza skamieniałości roślinnych i paleontologa Reussa, którzy twierdzą wyraźnie, że ani flora ani fauna przedpotowa w niczem nie popierają darwinizmu (str. 35.) Następujący ustęp, w którym autor powołuje darwinizm przed trybunał wiary (str. 36—39) uważamy za niezbyt potrzebny: dziś już ani wiara nauki, ani nauka wiary—a przeciwnicy religii chcieliby skorzystać z tego prawa odwetu—sądzić nie może. Tak np. rzecz o nazwach przez Adama rodzajom zwierząt nadanych, a i sama wzmianka o tym naszym praojcu zupełnie niepotrzebne i mogą posłużyć tylko za broń przeciwnikom p. Pawlickiego, podobnie jak wzmiankowany powyżej ustęp o łacinie, a wycieczka przeciwko starym katolikom (str. 37), jako, nie mająca żadnego z przedmiotem związku, jest nawet rażącą niestosownością. Kończy autor przyznaniem, zgodnie z darwinizmem, że jednostki w obrębie rodzaju zmieniają się, że nawet nowe powstają rasy, ale zaprzecza, żeby jeden rodzaj miał przechodzić w drugi. Nauka twierdzi przeciwnie, że jednostki ciągle się zmieniają, też że rodzaj pozostaje niezmiennym: pierwsze tłomaczy dla czego żadna jednostka nie jest zupełnie podobną do drugiej, a drugie—dla czego jest podobną (str. 40). Jak daleko pamięć ludzka sięga, znajdujemy potwierdzenie tej zasady: wizerunki i kości zwierząt egipskich i szkielety mumii (najstarsze z nich sięgają prawie 4000 lat) świadczą, że od tego czasu rodzaje te nie zmieniły się w niczem.

Druga część pracy p. Pawlickiego rzecz o człowieku i małpie nawiasem mówiąc, nie tak starannie opracowana jak pierwsza, zbija małpi rodowód ludzkości. Przyznając niezaprzeczone podobieństwo człowieka do małpy, autor słusznie wytyka gwałt, jaki darwinizm zadaje zdrowej logice, bez trudności z podobieństwa dwóch istot zbyt pochopnie wyprowadzając pochodzenie ich od siebie, a także i zupełne pominięcie strony duchowej człowieka, która sama tylko sprawia

że człowiek nie może być podobnym do żadnego innego tworu, gdyż jest nad nie wszystkie wyższym. Dalej przytacza autor według najsłynniejszych fizyologów, a głównie trzymając się Virchowa, ważniejsze fizyologiczne różnice człowieka od małpy, jak prostą postawę zależną od stosownej budowy karku, układu ramion, szczególne własności rąk, różnice ich długości, szczególne cechy ludzkiej stopy i czaszki, kąta czołowego, objętości jamy mózgowej, czas trwania życia ludzkiego i małpiego, różnicę co do epoki dojrzałości itd. Niektóre różnice autor pominął jak np. co do żeber, bardzo ważną, w królestwie zwierzęcem i najbardziej za odrębnością rodzaju ludzkiego przemawiającą cechę (jak to przyznają nawet stronnik darwinizmu Dr. Szyszło: Przegląd dziejów przyrody tom II str 39) a mianowicie nagość skóry ludzkiej. Podobieństwo pierwszych zaczątków życia nie może dowodzić niczego, gdyż nie tylko one, ale przez pewien przeciąg czasu i młode żyjątka są bardzo do siebie podobne (małpiątko i dziecię). Ale podobieństwo to z wiekiem znika, a występują coraz to wybitniejsze różnice. Ostrożniejsi darwiniści wyprowadzają człowieka nie od małp istniejących obecnie, lecz od jakiejś pośredniej zaginionej istoty, o której nic nie wiemy. Znowu tu ulubiona ucieczka darwinizmu do „miljonów wieków," przed którymi ten utwór ich wyobraźni istnieć musiał„—gadanina bez naukowej wartości. Skoro darwinizm przecie przyznaje, że dzisiejszy człowiek doskonalszym jest od swoich małpowatych protoplastów, a z drugiej strony prawi o *atawizmie*—dążności powrotu do dawniejszego typu przodków z pominięciem rodzicielskiego, co zresztą, stwierdza i krzyżowanie ras zwierzęcych—przeto p. Vogt mniema, że kretyni—biedne istoty o małych głowach i nierozwiniętym mózgu, podobnym do małpiego, są naszymi protoplastami! Przeciwko tej niedorzecznej hypotezie profesor Aeby w Bernie dowiódł, że to rzecz niesłychana, aby organizm chorobliwy miał być protoplastą organizmu zdrowego, stronnicy małpiej genealogii człowieka i tu znowu wikłają się w sprzecznościach. Dalej nasz autor dość szczegółowo mówi o czaszkach kopalnych z Engis i z Neanderthalu, przytacza zdania Vogta, Huxley'a i Lyella, które stwierdzają, że zawsze te, pomimo swéj niezmiernej starożytności, są czaszki czysto ludzkie, przypominające wprawdzie czaszki australczyków i hotentotów, ale wymiarami i objętością o wiele przewyższające czaszki małpie, a przy obecnym stanie nauki nikt już zasadnie twierdzić nie może, że czaszki australczyków i hotentotów mało różnią się od małpich. P. Pawlicki rozbiera także i kwestyą starożytności tych kopalnych czaszek i ze słuszną ironiją wytknąwszy, że podobne czaszki w Szwajcaryi znalezione, materyaliści z powodu ich upośledzonych rozmiarów uważali za czaszki chrześcijańskich missyonarzy (sic! str 72), ze swojej strony trochę niesłusznie usiłuje zmniejszyć starożytność czaszek z Engis i z Neanderthalu, widocznie w obronie dosłownego brzmienia biblijnéj chronologii (tamże str 72). W końcu autor, raz jeszcze wspominając o pominiętej duchowej wyższości człowieka, raz jeszcze wykazuje, że zaufanie stronników goryla do *geologii przyszłości* nie może być tymczasem żadnym argumentem dla materyalistów, którzy w niemocy swéj radziby nawet, jak trafnie wyraża się p. Pawlicki, *brać dowody na kredyt* (str 74), a w takim razie, korzystając obszerniéj z tego kredytu, łatwoby zaprzeczyć wszystkim dotychczasowym zdobyczom wiedzy: nie ostałaby się żadna „prawda, żadna nauka i dodajmy od siebie—zapanowałby ostatecznie objawiający się dziś tylko częściowo i różnymi ubocznymi wpływami podsycany, zupełny nihilizm. Taka jest treść dziełka p. Pawlickiego. Ma ono, jak to z powyższego przeglądu widzimy, cechę polemiczną, podobnie jak poprzednie jego dziełko: „Materyalizm„ ztąd autor niekiedy unosi się zbytecznie, ale najwięcej szkodzi sprawie nauki, wnosząc w jej sferę twierdzenia i dowody teologiczne. Za to zastosowanie probierza filozofii i kontrola logiczna, przeprowadzone są bardzo umiejętnie, choć krótko i zwięźle. Pomijając teologa, w panu P. przemawia świadomy swéj rzeczy filozof, a i ostatnie rezultaty nauk przyrodzonych nie są mu obce w tej mierze, ażeby nie mógł zrozumieć i ocenić teoryi przeciwników. Zadaje on darwinizmowi ciosy trafne i znaczące, choć przeciwnicy zapewne zarzucą mu zbyteczną krótkość i istotnie wartoby te kwestye roztrząsnąć obszerniej, a niekiedy i chłodniej, poważniej. Zawsze to książeczka u nas potrzebna i pożyteczna. Dostrzegliśmy kilka błędów językowych jak np. *szpiczaste* (str 7) *muszkularny* (tamże) *domestykacya* (str 31) *skamienin roślinnych* (str 35) *dedukując* (str 44). *króciej* (str 62).

L. S. W

Przegląd teatralny.

Hans Jurga. Obrazek dramatyczny w jednym akcie Karola Holteya, tłomaczony z niemieckiego.

(Pierwsze przedstawienie dnia 12 października r. b.)

Piszemy zwykle sprawozdanie pod świeżem wrażeniem sztuki odegranéj w Teatrze: jest to jakaś konieczność, do której znaglają nas wydawcy w widokach podania na czas relacyi czytelnikom pisma, pomni czy niepomni na tę ironiczną maksymę francuzkiego moralisty: *gardez vous du premier mouvement, car il est toujours bon* (¹). Nie wiem czy po kilku przedstawieniach nie zmienilibyśmy zdania, ale to pewna, że wrażenie nasze z pierwszego przedstawienia dramatu „*Hans Jurga*", tak pod względem treści jak pod względem gry, było dla autora i aktora nader korzystne. Widzieliśmy na twarzach zajęcie, wzruszenie, łzy w oczach; ręce wewnętrznem przejęciem poruszane do oklasków, wstrzymywały się ażeby umysł nie uronił jakiego wyczekiwanego effektu. Bo też istotnie, rzec można, Rapacki był rozrzewniającym, porywał. Pierwsza to podobno jego rola, w której zmuszonym był stanowczo zdeklarować, ile rzewnych i patetycznych uczuć posiada w duszy, i okazał ich zapas niepospolity.

Przeciwnicy idealizmu powiedzą może iż Hans Jurga jest człowiekiem nie z tego świata, i istotnie trudno w życiu rzeczywistem znaleźć sprawdzenie takiéj postaci. których pełno jest jednak w poetycznych wizyjach Wiktora Hugo. Słyszeliśmy też raz o kozaku, który, dla uratowania swych przyjaciół, rzucił się wśród śnieżystego stepu na ofiarę wilkom goniącym za saniami podróżnych, by ich zabawić swem ciałem nim podróżni zdążą do miasta. Ale mniejsza o to, z jakiego bądź świata, Hans Jurga jest kreacyą piękną moralnie, pod pozorami wcale nie ujmującémi.

Służy on za parobka u Borna, który dzierżawi grunt od pół feudalnego Barona. Natura dzika, nieokrzesana; uchodzi on w oczach tych co go nie poznali, za złośliwego półgłówka, a jest tylko gwałtowny i ponury, jak każdy kogo wszyscy od dzieciństwa potrącają i depczą. Zawsze odpychany i samotny, pogardzany i wstrętny dla swéj brzydoty, nie ma nikogo coby dał mu dobre słowo; bezwiednie jednak kocha on ludzi, i woła sam o sobie: w mem sercu tyle uczucia, w méj głowie tyle myśli! Ukochał on córkę Borna, Annę, która drwi sobie z niego i złośliwe płata mu figle, a kocha i jest narzeczoną strzelca służącego u Barona, imieniem Karol, którego ma za kilka dni zaślubić.

Anna jest powodem dwóch zazdrości. Hans nie może znieść téj myśli, że ona pójdzie daleko z Karolem. „Niech on sobie zabierze słońce z nieba jeśli może, niech zabierze cichą noc; byleby mi ciebie nie zabrał!" woła zrozpaczony, i wygraża mu zemstą. On nie chce być kochankiem Anny, ale pragnie tylko jej życzliwości, której odmawia mu dziewczyna rozgniewana nań za to gwałtowne uczucie nieprzyjaźni dla Karola, jakiem w oczach jéj wybuchnął;—i to w chwili, gdy rozczulona opowiadaniem Hansa o śmierci matki i nieszczęśliwych jego latach dzieciństwa, już się zaczynała z nim jednać. Śliczneż to scena kiedy nędzarz ten, na znak miłości swej dla Anny, mimo wszelkich jej wstrętów, daje jéj w podarunku jedyny skarb jaki posiada, sznurek paciorków po matce, a ona odpycha je z lekceważeniem. Potem, rozrzewniona jego opowiadaniem o téj matce i o jego sieroctwie, przyjmuje te paciorki z rąk uszczęśliwionego tą dobrocią Hansa; i znowu rzuca mu je pod nogi, gdy ten wybuchnął dziką a namiętną niechęcią przeciw jéj narzeczonemu. Ztakich to różnorodnych a iskrzących prawdą i poezyą psychicznych klejnocików składa się cały niemal dramat, które trudno nawet po szczególe rozbierać dla dania wyobrażenia o wartości rzeczy.

Drugą zazdrość przedstawia Karol, któremu zdaje się, że Anna daje posłuch miodowym słówkom Barona, nęcącego ją w odwiedziny do swego zamku. I ta to zazdrość jest początkiem katastrofy. Zdaje się, jakoby dziki Hans, w nieświadomości tego co czyni a tylko wiedziony instynktami namiętności, czyhał na życie Karola; ten znowu na życie Barona. Stało się nieco inaczéj. Karol w pierwszym przystępie szału podpalił tylko ten zamek, w którym obawiał się widzieć w gościnie swą narzeczoną, i gdy dzierżawca z całą wsią wybiegł na ratunek, on umknął i za powrotem zwierzył się ze swego postępku już mającéj nań podejrzenie Annie. Zwierzenia tego wysłuchał z za węgła Hans,—i oświadcza to dziewczynie, która tymczasem ukryła w domu występnego kochanka. Zemsta jego jest gotową, oczy błyszczą mu ogniem wściekłego zadowolenia;—„wszak wiesz,—powiada do Anny,—co czynią z podpalaczem? oto rzucają go głową w płomienie zgorzeliska!" Anna nie wie co czynić w rozpaczy: najcięższemi obelgami obrzuca gotującego się do denuncyjacyi, wykłada mu sromotę tego postępku, ale morały nie trafiają do twardéj głowy dzikiego nędzarza, on widzi tylko rozkosz zemsty nad szczęśliwym przeciwnikiem, który miał mu wydrzeć skarb uczucia.

Anna odbiega do pożaru, ażeby sama mogła wydać kochanka i tym sposobem wzbudzić wyrozumiałość u ojca, który okazuje się najgorliwszym w ratowaniu dobra Barona,—a tymczasem myśli przejaśniają się w głowie Hansa. Nie! ona mu powiedziała, że kto raduje się z nieszczęścia bliźniego, ten jest najgorszym zbrodniarzem. Wzięła górę natura szlachetna, a trzeba było widzieć Rapackiego, jak się wyprostował, jaki uczynił gest, jak on nim wypowiedział wszystko słuchaczowi, kiedy miał spełnić ideał przez autora zamierzony, kiedy zapanował nad zazdrością i postanowił poświęceniem się zjednać życzliwość Anny. Na wrzaskliwe okrzyki tłumu biegnącego z Anną: gdzie on! gdzie podpalacz! Hans oddaje się w ręce. Rzeczywiście wtedy nad postacią artysty błysła jakaś aureola, i dech zatrzymał się w piersiach słuchaczów. Przyjście Barona ocala od śmierci Hansa, którego za całą

(1) Strzeżcie się pierwszego poruszenia, bo ono zawsze jest dobre.

karę oddają w ręce werbowników wojskowych, by uwolnić okolicę od takiéj niebezpiecznéj poczwary.

Na uprowadzeniu Hansa, jako na chwili najwyższego wrażenia, zapaść powinna zasłona, i takby był rozporządził francuz, ale niemiecki autor chciał snadź w całym porządku rzecz doprowadzić do końca. Dodał więc niejako epilog, by wypuścić na wolność zamkniętego w bezpiecznem schronieniu Karola, załatwić jego stosunek do całéj sprawy, i uczynić wreszcie akt pożegnalny z Hansem, który przy odgłosie muzyki pochodowéj i chórów defiluje w szeregu nowozaciężnych, z tajemnicą w sercu, wiadomą tylko Annie i Karolowi, którzy w swym miłosnym egoizmie korzystając z jego poświęcenia, pokryli ją milczeniem.

Oto jest ogólna treść sztuki i zarazem postać Hansa Jurgi, który stanowi nie naczelną figurę, ale rzec można całą sztukę. Najważniejszem zadaniem artysty było uczynienie téj postaci sympatyczną, tak jak to stało w założeniu autora, pomimo całéj niesympatyczności pozorów; słowem przedstawienie półboga w postaci zwierzęcia. Że zaś zadanie to spoczywało na zrozumieniu wielce kunsztownéj mozaiki drobnych szczegółów, należało zatem pilnie je wystudyować z okiem zwróconem na tę całość kontrastów pełną, cieniować zwolna i umiarkowanie, by zawsze aż do końca utrzymać czytelnika w zawieszeniu co do istotnego znaczenia tej postaci, dopóki stanowczy moment ostatecznie jéj nie określi. Tak pojął to artysta i po mistrzowsku z pojęcia się swojego wywiązał...

Karol jest pierwszym w sercu Anny, ale dobrze drugim w sercu autora. Ma on jednak pewne znaczenie w sztuce, i ze względu na to właśnie znaczenie wygląda dosyć blado, powiedziałbym nawet, niesympatycznie: w każdym razie jest to figura mało zdeterminowana. Jego podejrzliwość względem kochanki jest poprostu lekkomyślną, opartą na źle podsłuchanym i zrozumianym wyrazie, co się w charakterze przedstawianym w dodatniem świetle niełatwo usprawiedliwia. Co zaś jest bez wszelkiego usprawiedliwienia, to że Karol pozwala sobie korzystać ze wspaniałomyślności Jurgi; mniejsza już o to że go tym sposobem oddaje w rekruty, może nic nie pozostawało lepszego biednemu nędzarzowi, ale Karol pozostawia go zbrodniarzem w mniemaniu rodziców swéj narzeczonéj i w oczach całéj wsi, ratując tym sposobem siebie od niechybnéj śmierci, gdyż Baron inaczejby się z nim obszedł jak z Jurgą uważając go właśnie za główną przeszkodę w spełnieniu swych romansowych zamiarów względem Anny. Lepiéj zatem było rzucić zasłonę na ten epilog, niż przezeń w ten sposób uwydatniać charakter Karola, jeśli autor przywiązywał doń pewną wartość, ale zdaje się że mu o to, wobec zadania głównego wcale nie chodziło. Przeciwnie, całe otoczenie Jurgi jest jakby umyślnie trzymane w nizkim, egoistycznym poziomie, stanowiąc poniekąd tylko piedestał dla postaci głównéj.

Zawiele może nawet mówimy o tym przedmiocie, ale potrąciliśmy oń głównie z powodu gry p. Wolskiego. Młody i nie bez zdolności artysta nie uczynił nic dla podniesienia postaci Karola: miłość swą dla Anny traktował on jak jakiś interes. Nie widać w nim było żadnéj z tych namiętności, które mu poddał autor. W kochaniu zimny, w oburzeniu tylko opryskliwy, w pomięszaniu sztywny, szybkością ruchów i gestykulacyą chciał zastąpić wszystko. Sprowadzony od pogorzeli przez Annę i naciskany przez nią, wymawia: „ja spaliłem zamek!“ tak jakby wymawiał, ja wypaliłem cygaro. Ani w jego powierzchowności, ani w postawie, ani w tonie mowy, nie widać téj burzy, która poczęła się w chmurze zazdrości a wybuchła piorunem zbrodni. Wyglądał on raczej na *dziecko* schwytane na swawoli niż na *człowieka* mierzącego doniosłość czynu, w chwili zwłaszcza gdy się dowiaduje że zbrodnia jego, grożąca straszliwą karą, była całkiem bezpotrzebną. Niech nam młody artysta nie bierze za złe tych surowych uwag: one powinny go nakłonić do tego przekonania, że przy największym nawet talencie potrzeba wewnątrz czuć i do dna duszy przejąć się moralnemi sytuacyjami, ażeby te mogły się w należytem świetle uzewnętrznić. Droga postępu w sztuce długa jest, a pierwsze dopiero na niéj kroki zaczął stawiać p. Wolski, i przyjdzie mu nieraz jeszcze może zbaczać na prawo i na lewo nim się na prostą liniję dostanie.

Panna Popiel nie miała w roli Anny do zwalczenia trudności, przechodzących jej naturalne uzdolnienie. W części naiwna, w części sprytna, podobna do wielu innych dziewcząt które ma w swoim repertuarze, jak zwykle zachwycała gracyą poruszeń, wdziękiem intonacyi, rozśmieszała płaczliwem opowiadaniem, co jest jej *cheval de bataille*; w dwóch tylko ustępach, gdzie sytuacyja jej weszła na ton patetyczny, ekspresyją rozsypała się w chłodną deklamacyję.

Kazimierz Kaszewski.

WIADOMOŚCI
Z NAUK PRZYRODNICZYCH

ODNOSZĄCE SIĘ DO

DOMOWEGO GOSPODARSTWA
I POTRZEB
ŻYCIA CODZIENNEGO.

Wstęp.

Skutkiem powszechnie przyjętego u nas sposobu wychowania, posiadamy zwykle znaczną ilość najróżnorodniejszych wiadomości, a świat materyalny nas otaczający, największy i ciągły wpływ na nas wywierający, prawie zupełnie nam jest obcy. Znamy wybornie historyę Greków i Rzymian, czyny Aleksandra Macedońskiego i Cezara, Mythology wszystkich ludów, domowe życie Rzymian, ba nawet i Kartagińczyków; itp. lecz natomiast, nieznamy natury i własności powietrza, bez którego żyć byśmy nie mogli, wody którą pijemy, pokarmów któremi głód nasz zaspakajamy, i tak daléj. Niech dziecko ze swem jasnem i ciekawości pełnem spojrzeniem, zapyta nas o rzecz codziennego użytku, lub o przyczynę fizycznego zjawiska, dziejącego się co chwila przed naszemi oczyma, iloż razy zbyć je niczem musiemy, lub umilknąć przed jego prostem zapytaniem?

Ażeby zaradzić temu, ażeby wszystko co się w około nas dzieje i z czem w codziennem życiu na każdem kroku się spotykamy, tajemnicą dla nas nie było, postanowiliśmy podać seryę wiadomości z nauk Przyrodniczych, tyczących się pochodzenia, natury i własności ciał, czynników i przyrządów, najpowszechniej w życiu domowem używanych. Wprowadzamy naukę do domowego ogniska „ażeby nam dała tłómaczenie różnych, codziennych czynności, jakie w ciągu naszego życia się odbywają.

Oddychać, karmić się, odziewać się, ogrzewać i oświetlać mieszkania, oddziaływać przeciw zewnętrznym fizycznym wpływom, zapobiegać i przeciwdziałać chorobom na nas napadającym, oto są czynności, któremi głównie ogranicza się nasze życie codzienne. Stosownie do tego i w artykułach naszych odpowiedni zaprowadzimy porządek.

Najprzód więc mówić będziemy o *Powietrzu atmosferycznem*, o jego składzie i działaniu na ludzi i zwierzęta.

Następnie mówiąc o *Pokarmach* badać będziemy *chleb* i różne jego rodzaje, *mleko*, *masło*, *ser* i *jaja*. Dalej *mięsa zwierząt domowych*, *drób i zwierzynę*. Potem pójdą znowu *ryby rzeczne* i *stawowe*, jako też i niektóre *morskie* pospolicie za pokarm używane Po nich nastąpią *warzywa i owoce* jadalne. Podawać będziemy krótkie wiadomości naukowe o wszystkich gatunkach zwierzęcych i roślinnych, jakie wymieniać nam przyjdzie.

Później mówić będziemy o *Napojach*, tu na pierwszym planie stanie *woda*, uważana pod względem fizycznym, chemicznym i ekonomicznym, dalej *wino*, *piwo*, *jabłecznik*, etc. Dodamy w końcu i *wodę gazową*, jako napój coraz to więcej w użycie wchodzący.

Dział czwarty za przedmiot mieć będzie *Przyprawy*, czyli ciała, które same nie będąc pokarmami, stanowią wszakże podstawę wszelkich kuchennych kombinacyi. *Sól* zatem będzie badana co do jej pochodzenia, własności i sposobów dobywania. *Ocet cukier*, *korzenie wszelkie*, *czekolada*, zarówno pod względem nauki jak i handlu wzmiankowane będą.

Dział piąty obejmie rzeczy *Podbudzające*, których użycie znane było u ludów najdawniejszych jak również i u tegoczesnych, a które działają w sposób drażniący i podbudzający nasz system nerwowy. *Tytoń*, *kawa*, *herbata*, *różne wódki i likwory*, są ciałami podbudzającemi w powszechnem dziś użyciu.

Opis ciał włóknistych z których wyrabiają się nasze *tkaniny i odzienia*, zajmie dział szósty. Lecz dokładniejszy ich opis, zwłaszcza sposobów fabrykacyi byłby za obszerny dla ram naszego pisma, dla tego też w krótkości tylko rozpatrzymy one, dzieląc je na trzy kategorye: 1° *płótna* 2° *tkaniny wełniane* 3° *tkaniny jedwabne*.

Jako dodatek do tego działu powiemy słów kilka o *skórze* i *kauczuku*, także niemałe stanowisko w odzieniu naszem i użyciu na obuwie zajmujących.

W dziale siódmym, mówić będziemy o wszystkiem co przy tualecie używać się zwykło, jakoto: *mydła pomady*, *grzebienie*, *gąbki*, *kosmetyki*, *perfumy*.

Dział ósmy obejmie wyszystkie sposoby ogrzewania i oświetlania; *piece*, *kominki*, *kalorifery*, *ogrzewanie gazem*, *wentylatory etc.*

W dziale dziewiątym pod tytułem: *Minerały* i *Metale*, damy poznać te tylko, których najpowszechniejszy użytek najwięcéj ludziom przynosi korzyści.

Nareszcie w dziale dziesiątym mówić będziemy o *Klejnotach i drogich Kamieniach*. Sądzimy, że Czytelniczki nasze, chętnie przyjmą treściwe wiadomości naukowe o pochodzeniu, składzie, sposobach, wydobywaniu, etc. tych wszystkich rzeczy, które im za ozdoby służą.

Oto jest plan jaki zamierzamy przeprowadzić w niniejszych pogadankach naukowych. Bylibyśmy szczęśliwi gdyby one rozbudzić mogły zamiłowonie do nauk przyrodniczych, tak pięknych, tak zajmujących i pożytecznych, a zbyt mało niestety u nas jeszcze znanych.

I.

Powietrze atmosferyczne.

W zamierzonych artykułach, które mają na celu naukowe objaśnienia i tłómaczenia najważniejszych czynności życia codziennego, pierwszém ciałem które zbadać należy, jest bez zaprzeczenia *powietrze*

atmosferyczne. Ze wszystkich ciał do życia naszego niezbędnych, powietrze, niewątpliwie jest najpotrzebniejszém. Wstrzymajmy oddech, to jest fenomen mający na celu wprowadzanie powietrza do płuc, na czas nawet bardzo krótki a narazimy życie, tak u człowieka, jak i u zwierząt. Usuńmy je a przerwiemy życie na zawsze. Można przez pewien, dość długi czas nawet, obejść się bez pokarmu, lecz bez ożywczego działania powietrza obejść się nie można, nie wywołując natychmiastowéj śmierci. Ze wszystkich fizycznych potrzeb słabéj natury naszej, potrzeba powietrza jest najkonieczniejszą i najgwałtowniejszą. W wielu językach słowa *żyć* i *oddychać* są identyczne, mowa wiernie w nich wyraża wzajemny stosunek tych obu fenomenów.

Niezbędne do utrzymania życia we wszystkich organicznych istotach, tak zwierzętach jak i roślinach, powietrze nadto jest głównym czynnikiem przy paleniu się ciał wszelkich, przy tym wielkim fenomenie, dającym człowiekowi możność przygotowywania sobie pokarmów i ogrzewania się; obecném i niezbędném jest ono także przy wszystkich prawie działaniach chemicznych, jakie na kuli ziemskiéj się odbywają. Powietrze podtrzymuje ogień, bez powietrza nie byłoby ognia, Powietrze działa na metale, ono to na żelazie rdzę tworzy, okrywa miedź szarą powłoką, od niego ciemnieje ołów, cynk i cyna. Od jego wpływu wino w ocet się zamienia, iłczeją masło i tłuszcze i t. p.

Powietrze atmosferyczne jest także przewodnikiem głosu; drganiem to powietrza dźwięki i głosy przechodzą do organów słuchu, które tylko za jego pośrednictwem wrażenia te odbierają. Każde wrażenie, poczucie dźwięków, od ogłuszającego uderzenia piorunu, do brzęku niewidzialnego owadu, z wibracyi powietrza pochodzi. Głos i śpiew, krzyki zwierząt, mowa ludzka, niczém innem nie są, tylko pewną ilością wypchniętego powietrza i w pewien sposób poruszonych fal powietrznych. Usuńmy powietrze, a na całéj powierzchni ziemi zapanuje głuche milczenie, obrazi cecha i nicości.

Nauka o ciele tak zasadniczéj ważności we wszystkich czynnościach natury, powinna zatem w zamierzonych pogadankach naszych na pierwszym stać planie. Czem że więc jest powietrze atmosferyczne, ten tak powszechny fizyczny czynnik, tak niezbędny dla życia jak i dla działalności ludzkiéj?

Przez długi przeciąg wieków, nauka milczała w tej tak ważnéj kwestyi. Starożytni, Grecy i Rzymianie, mieli wszakże jakieś mgliste wyobrażenia o bycie i własnościach powietrza. Gwałtowne ruchy atmosfery, potężna mechaniczna siła wiatrów i huraganów, zmuszały do uznania bytu jego, lecz z drugiej strony, jego pozorna lekkość, brak barwy wszelkiéj, która czyni je niewidzialnem, mąciły te pierwsze ich pojęcia. Starożytni nie chcieli uznać w powietrzu materyalnéj rzeczywistości, tworzyli sobie z niego rodzaj *ducha* (spiritus); słowo które stosowali zarówno do powietrza i do nieśmiertelnéj duszy ludzkiéj, ze swej ziemskiéj powłoki uwolnionéj. Widząc zaś niektóre ciała lekkie, jak piórka ptaków lub puchy roślinne, unoszące się i zawisające w powietrzu, wnosili że ono nie ma żadnego ciężaru, utrzymywano nawet że ma *ciężar ujemny*, jak się wyrażano wówczas.

Wszystkie te mylne wyobrażenia o naturze i własnościach powietrza, od najodleglejszej starożytności trwały aż do siedemnastego wieku. Wtedy to Galileusz, jeden ze znakomitszych geniuszów jakiemi się ludzkość szczycić może, doszedł ciężaru powietrza i stwierdził to niezaprzeczonemi dowodami. Za pomocą pewnych doświadczeń znalazł nawet dokładną wagę tego ciała, którego materyalności starożytni niedopuszczali: ciężar ten oznaczył według teraźniejszéj wagi na 1 gram 3 decigramy (około 20 gran aptecznych) na każdy litr czyli jedną kwartę powietrza.

Wszystko co jest materyalne musi być ciężkie. Ciężar powietrza zapewne bardzo jest mały, gdyż kwarta wody ważąca 1 kilogram czyli tysiąc gramów prawie o tysiąc razy jest cięższą od niego, wszakże zebrane w wielkich massach, potężne sprawia skutki. Wiatry, które niczém innem nie są, tylko powietrzem w szybki ruch wprowadzonem, pędzą po morzu olbrzymiej wielkości i ciężary okrętu, napierając na znaczną powierzchnię ich żagli, wystawionych na swobodne działanie wiatru; huragany i trąby powietrzne, z gwałtowniejszego jeszcze ruchu tegoż powietrza powstające, drzewa z korzeniami wyrywają, obalają najtrwalsze budynki i na znaczne przestrzenie kraju sprowadzają spustoszenia.

Nie trudno jest obliczyć ciśnienie jakie wywiera ciężar powietrza na pewnéj danéj przestrzeni. Zbadano że atmosfera tworzy po nad ziemią którą zamieszkujemy, warstwę ciągłą, któréj grubość prostopadła jest blizko dziesięciu mil naszych. Taka więc ogromua ilość powietrza działać musi na ziemię jakby bardzo ciężka massa. Wyrachowano że każden centymentr powierzchni ziemi lub morza, nosi skutkiem kolumny powietrznéj cisnącéj na niego, ciężar jednego kilogramu (2 ½ funty nasze). Z tego można obliczyć, znając wielkość powierzchni ciała ludzkiego, która u człowieka średniego wzrostu, 1 ¾ metra kw. wynosi, że nasze ciało dźwiga przez ciśnienie atmosfery, ciężar czterdziestu dwóch tysięcy funtów Uczony, Haüy, przytaczając i wyprowadzając ten rachunek, wyraził się dowcipnie:

„A jednak taki ciężar dźwigali na sobie starożytni filozofowie, którzy ciężaru powietrza uznać niechcieli."

Lecz może Czytelniczki nasze niespokojnie rozmyślać zaczną nad tym ogromnym ciężarem, który delikatne ich ramiona zmuszone są dźwigać, lub widząc swobodę i zręczność swych ruchów, powątpiewać będą o rezultatach nauki: pospieszmy więc uspokoić je. Jeśli powietrze wywiera ciśnienie na zewnątrz naszego ciała, podobnież ciśnie i z wnętrza jego W płucach naszych, wewnątrz kanałów krwionośnych po całem ciele rozgałęzionych, powietrze zewnętrzne swobodnie przenika z ciężarem swoim, a ztąd i ciśnieniem sobie właściwem. Naciśnięte więc z zewnątrz i ze środka czyli innemi słowami, poddane dwóm ciśnieniom, które się równoważą, nasze organa nie czują tego bynajmniej. Ryba pływająca w znacznych głębokościach dźwiga na sobie niezmierny ciężar wielkiej kolumny wody, tysiąc razy od powietrza cięższej, lecz wewnętrzna jej strona równe prawie otrzymuje ciśnienie równoważą się i wzajemnie neutralizują. Dla tego to i człowiek zanurzony w powietrzu, jak ryba w wodzie, nie ma się czego lękać ciśnienia płynu, w którym porusza się z całą swobodą, nie zdając sobie nawet sprawy z tego fizycznego działania, które ażeby być wykazane, i pojęte potrzebuje pomocy nauk ścisłych.

Jako dowód na poparcie tego cośmy wyżej powiedzieli przytoczymy jeszcze, że kiedy człowiek wstępuje na wysoką górę, lub wznosi się balonem w wyższe warstwy atmosfery, traci przywilej tej normalnej równowagi, pomiędzy wewnętrznem a zewnętrznem ciśnieniem powietrza, na organa nasze wywieranem. Im wyżej wznosimy się w atmosferę, tem warstwa powietrzna nad nami lżejszą się staje, a zatem i ciśnienie jej coraz jest słabsze; powietrze zaś zatrzymane w płucach i w innych wewnętrznych organach ciała, zachowało swój ciężar, ztąd ciśnienie jego na wewnętrzne powierzchnie większe jest, aniżeli ciśnienie zewnętrzne lżejszej atmosfery, w której się znajdujemy. Jako skutek tego naruszenia równowagi w ciśnieniu powietrza, następuje utrudnienie w oddychaniu; krew nie będąc dostatecznie ciśnieniem zewnętrznem utrzymaną w swych naczyniach, w części ucieka z nich, nosem, ustami, uszami a nawet i przez oczy. Przeciwnie, zstępując w głąb ziemi, na znaczną głębokość, jak naprzykład w kopalniach niektórych, tenże fenomen: leczw odwrotnym okaże się kierunku, ciśnienie zewnętrzne się zwiększy, a zmniejszy wewnętrzne, ztąd objawią się krwotoki wewnętrzne, cie krwią, etc.

Uważaliśmy dotąd powietrze w fizycznem jego znaczeniu tylko, lecz rozpatrując je pod względem chemicznego składu, zrozumiemy dopi ero własności jego i zdamy sobie dokładną sprawę z wpływu jaki wywiera na istoty żyjące i nawet ciała martwe.

Powietrze złożone jest z czterech ciał, w stanie gazowym, lub w stanie pary będące: kwasoród czyli tlen, saletroród czyli azot, kwas węglowy i para wodna. Jakże można się przekonać, że te cztery ciała wchodzą rzeczywiście w skład powietrza?

Wielu bardzo sposobami możnaby wykazać w powietrzu atmosferycznem, obecność tlenu w stanie wolnym i gazowym. Przytoczymy tu tylko doświadczenie znakomitego chemika Lavoisiera, które w końcu ostatniego wieku pomogło do rzucenia podstawy nowej nauki, chemij. Doświadczenie to bardzo jasno rozwiąże nam postawione pytanie. W balonie szklanym dobrze zamkniętym i zawierającym wymierzoną ilość powietrza, Lavoisier przez dni ośm zrzędu gotował rtęć (żywe srebro). Powietrze zawarte w balonie zmniejszyło się w objętości, a rteć zwiększyła się co do wagi, tracąc swą zwykłą pewierzchowność, a przybierając kolor czerwony. Lavoisier zebrał proszek czerwony w który rtęć się zamieniła i ogrzawszy go mocno, otrzymał z niego tlen czysty w takiej ilości, jaka ubyła powietrzu w balonie. To doświadczenie żadnej wątpliwości nie pozostawia, rtęć zabrała z powietrza zawartego w balonie wszystek tlen i następnie go oddała.

Ażeby zaś przekonać się o znacznej ilości azotu znajdującego się w powietrzu, dość jest powtórzyć bardzo zwyczajne na lekcyach chemii doświadczenie. Spalić kawałek fosforu w kloszu szklannym napełnionym powietrzem i na wodzie postawionym.

Fosfor palić się będzie dopóki tlenu pod kloszem stanie, następnie zgaśnie i woda podejdzie do góry o tyle, ile tlen wypalony miejsca zajmował, pozostały w znacznéj jeszcze ilości gaz, nie mogący podtrzymać palenia, jest azotem, jak z jego własności przekonać się łatwo.

Chcąc znaleźć w powietrzu kwas węglowy, należy poprostu wystawić trochę wody wapiennéj czystéj na działanie powietrza. Wkrótce stanie się ona mętną i zacznie osadzać białe, nierozpuszczalne kosmyki. Zebrawszy je i poddawszy działaniu jakiego kwasu, otrzymamy kwas węglowy łatwy do poznania.

Para wodna w powietrzu, okazuje się na szybach pokoju w którym wiele jest osób, i kiedy powietrze zewnętrzne jest oziębione. Jeżeli zaś meteory wodne, jako to: mgły, deszcze, grady i tym podobnie, niewykazują dostatecznie jeszcze obecności pary wodnéj w powietrzu, to dość jest wnieść do pokoju naczynie szklanne z lodem, ujrzemy je natychmiast pokrywające się kropelkami oziębionéj pary wodnéj. Możnaby nawet tym sposobem oznaczyć dokładną proporcyę pary wodnéj w powietrzu zawartéj.

Przekonawszy się jakiéj natury są cztery ciała w skład powietrza wchodzące, obaczmy teraz jakim sposobem można, przez analizę chemiczną, oznaczyć stosunek tych ciał między sobą, czyli dajmy poznać jak postępować należy, ażeby dokonać rozbioru chemicznego powietrza.

Wiele jest okoliczności w których potrzebną być może wiadomość jego chemicznego składu. W lochach, do których przystęp powietrza bywa trudny, to znajdujące się w nich powietrze psuje się czasem, we wnętrzach głębokich kopalni, obce i szkodliwe gazy czynią je niebezpiecznem; w gorzelniach, browarach, w izbach im przyległych z kadzi fermentacyjnych wydobywający się w wielkiéj ilości gaz węglowy, powietrze zatruć może, i t. p: w każdym razie pożytecznem jest wiedzieć, jakim sposobem za pomocą analizy chemicznéj, można oznaczyć względną czystość powietrza, to jest wynaleźć dokładną ilość zawartego w nim tlenu i azotu, i przekonać się o ile ona się różni od normalnéj proporcyi tych gazów, powietrze zupełnie czyste stanowiącéj.

Ażeby uczynić rozbiór chemiczny powietrza jakiego bądź miejsca, potrzeba najprzód mieć próbkę tego powietrza. Na to jest sposób bardzo prosty. Należy wziąść naczynie, najlepiéj butelkę, jednéj lub dwóch kwart objętości, napełnić wodą i wnieść do miejsca z którego powietrze chcemy analizować; tam wylać wodę, miejsce wylanéj wody zastąpi natychmiast powietrze, które mocno zatkać należy. Mamy więc kwartę lub dwie tego powietrza, które pod rozbiór poddać mamy.

Lecz jakich sposobów użyć należy ażeby uczynić analizę tego powietrza, to jest znaleść i oznaczyć w nim ilość tlenu i azotu?

Sposoby te są różne, stosownie do tego, czy chcemy oznaczyć przybliżenie tylko ilość tych gazów, czy też uczynić to z największą naukową ścisłością. W pierwszym wypadku przyjąć możemy zasadę *objętości*, chociaż ona małe niedokładności pociąga; w drugim zaś przy pomocy *ważenia*, robiąc to z największą ostrożnością, ażeby nie dopuścić omyłki.

Jeśli chcemy na zasadzie *objętości*, uczynić analizę powietrza, potrzeba wziąść się do tego w następny sposób:

Do szklannéj walcowatéj rurki, jednostajnéj grubości, mającéj na sobie podziałki, a spoczywającéj na wodzie, wpuszcza się pewna ilość powietrza mającego być analizowaném i notuje się ile podziałek zajmuje ono, następnie wprowadza się w nią kawałek fosforu tak długi prawie jak przestrzeń przez powietrze w rurce zajęta i doświadczenie zostawia się samemu sobie. Fosfor łączy się z tlenem powietrza znajdującego się w rurce i tworzy kwas fosforowy, który rozpuszcza się w wodzie, a azot sam jeden pozostaje.

Jeżeli widzimy wnosząc przyrząd do ciemnego miejsca, że fosfor świecić przestał, to będzie znakiem że tlen wszystek z nim się połączył, wtedy porusza się jeszcze rurkę, ażeby się w wodzie reszta pary kwasu fosforowego rozpuściła, woda podstąpi w górę i zajmie miejsce ubyłego tlenu, a wolne podziałki oznaczą w *objętości* ilość azotu. Różnica zaś tej objętości z ilością powietrza którąśmy do rurki wpuścili, będzie miarą tlenu jaki się w niem znajdował.

Ta metoda dostatecznie dokładna, a w praktyce niezmiernie łatwa, wykazuje stosunek składowych części powietrza z różnicą nie większą jak jednéj dwóch setnéj. Tę małą różnicę śmiało przyjąć możemy, gdy idzie naprzykład o zbadanie powietrza i przekonanie się, czy jest ono szkodliwe do oddychania dla człowieka.

Metoda analizy za pomocą *ważenia* jakkolwiek matematycznie dokładna, nadto jest skomplikowana potrzebuje osobnych przyrządów i znacznej wprawy w obchodzeniu się z niemi, nie widzimy więc potrzeby dawać jej opisu.

Tą ostatnią metodą postępując i z największą uwagą i ostrożnością działając, chemicy znaleźli, że powietrze na wagę zawiera w 100 częściach, 23 tlenu a 77 azotu. Stosunek zaś ten na objętość, ponieważ waga tych gazów jest różna, będzie 21 tlenu a 79 azotu.

Taki więc jest, co się tyczy azotu i tlenu, normalny skład powietrza.

Ilość kwasu węglowego w normalnéj proporcyi jest bardzo mała, znajduje się go bowiem tylko $^{1}/_{10,000}$ na 100 części powietrza.

Co zaś do pary wodnéj, tej ilość oczywiście niezmiernie zmienna być musi. Zwykle jej proporcya, na objętość, mniej więcéj około $^{1}/_{150}$, wynosi.

Składowe części powietrza, których normalną proporcyę w zwykłych okolicznościach wykazaliśmy, czy połączone są z sobą jako prawdziwy związek chemiczny, czy też jako prosta tylko mięszanina ciał tych? Pierwsze zdanie przez dawniejszych uczonych utrzymywane było, lecz dziś całkiem od niego odstąpiono. Thomson, doktór Prout, Dobereiner i niektórzy inni chemicy jeszcze, utrzymywali że powietrze należy uważać jako związek chemiczny, sądząc że w skład jego wchodzi na wagę stu części, 20 tlenu a 80 azotu. Prosty ten stosunek, będący cechą związków chemicznych, dostatecznym był w ich oczach dowodem, na poparcie tego zdania. Lecz nie mogło utrzymać się ono, w obec dokładniejszych analiz, przez teraźniejszych chemików czynionych, którzy wykazali bez najmniejszéj myłki skład jego, z 23 części tlenu a 77 części azotu na wagę.

Lecz następne, bezpośrednie dowody niezaprzeczenie okazują nam, że powietrze jest tylko prostą mieszaniną, a nie zaś chemiczną kombinacyą dwóch gazów, azotu i tlenu.

1. Siła przełamywania światła każdéj mięszaniny gazowéj, to jest własność jej w uchylaniu od prostego kierunku promieni słonecznych, równa jest zawsze średniéj tej sile dwóch gazów w mięszaninie znajdujących się, okoliczność ta nigdy w związkach chemicznych miejsca nie ma. Znaleziono więc że powietrze posiada siłę przełamywania światła, równą średniéj proporcyi tychże sił, w gazach, azocie i tlenie osobno uważanych.

2. Kiedy dla otrzymania sztucznie powietrza, mięsza się we właściwych proporcyach rzeczone gazy, nie dostrzega się najmniejszych objawów, ani ciepła, ani elektryczności, będących zawsze cechą i wskazówką każdego tworzącego się chemicznego związku.

3. Nareszcie, fenomeny gorzenia i okwaszania, tak zwyczajne na powierzchni ziemi, oddychanie zwierząt i roślin, wszystkie te różne okoliczności, w których widzimy tlen powietrza najgłówniejszą odgrywający rolę i z taką szybkością, z taką łatwością oddzielający się od azotu tworzącego z nim powietrze, są ważnym dowodem na potwierdzenie tego drugiego zdania. Gdyby powietrze było związkiem chemicznym, składowe jego części nie mogłyby oddzielać się z tak wielką łatwością.

Powietrze zatem jest prostą mięszaniną, a nie związkiem chemicznym dwóch gazów, azotu i tlenu. Natura chciała przez to ułatwić związki tlenu i azotu z ciałami wystawionemi na ich działanie, uczynić szybszemi tak bardzo liczne chemiczne działania do których tlen przeznaczony, aby się spełniały różnorodne fenomena materyalne, dziejące się na kuli ziemskiéj, w których on przeważną odgrywa rolę.

Okolicznością niezmiernéj wagi i godną zastanowienia, a żadnéj wątpliwości nie ulegającą, jest jednostajny zawsze skład powietrza we wszystkich strefach i okolicach kuli ziemskiéj, w największych głębokościach jej i w najwyższych warstwach atmosfery. Chemicy czynili analizę powietrza zebranego po wszystkich częściach świata, pod równikiem, przy biegunach, w rozlicznych miejscach środkujących; na szczytach gór wyniosłych, na niezmiernych wysokościach do jakich tylko człowiek balonem mógł się dostać, jakoteż i w największych głębiach rozlicznych kopalni. Wszędzie powietrze okazało się jednostajne w swym składzie, co do ilości azotu i tlenu; wszędzie na miarę objętości w 100 częściach, ma 21 tlenu a 79 azotu, na wagę zaś 23 tlenu, a 77 azotu.

Harmonija i cudowny porządek fenomenów naturalnych, wykazują się jasno w tej niezmiennéj jednostajności składu powietrza, z najróżniejszych miejsc czerpanego. *H. K.*

KORESPONDENCJA.

Pani St. F. A. z K: Wierszyk Modlitwa niewłaściwy dla kolumn Tygodnika Mód. Dwa inne Do... i Któż zgadnie? zostaną wydrukowane.

Zacnéj korespondentce, która pochwaliła nas za nie mieszanie się do sporów i napaści prasy perjodycznéj przesyłamy serdeczne podziękowanie. Inaczéj nie moglibyśmy postępować. Krytyka rozumna i sumienna, to zaszczyt każdéj społeczności: napastnicza to jej hańba. Niestety! mamy drugą a pierwszéj prawie wcale nie posiadamy. Co ją wyrobiło u nas? Naszem zdaniem nic innego, tylko nie douczenie się a z tego wyrosła zarozumiałość, najszkaradniejsze samolubstwo i wstrętny nihilizm. Dzisiejsi nihiliści literaccy, na czele których stoi właśnie ten, którego pani z takiem oburzeniem wymienia, w ciszy swoich myśli zawsze powtarzają: niech świat padnie w gruzy, byle grosz zyskać, byle mi dziś było dobrze. Skandal popłaca, więc daléj z nim naprzód, niech świat śmieje się, zaciekawia byle płacił i był zadowolony.

Dla zabawki jak dziecku rzućmy mu słówko ocukrzone zapałem do publicznego dobra, a wędkę połknie i skandal przyjmie za bezwględną prawdę.

Oto zasady dzisiejszych nichilistów, czyż można z takiemi przez piśmienną polemikę, brudzić własne pióro i ubliżać swojéj godności?

N. 41. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera. — O społeczności przedchrześcijańskiéj III. Jezus Chrystus.—Halina Zagórska. Powieść. (Dokończenie).—Lukrecja Dawidson.—Pogadanki z ojcem XI. Biegun południowy ziemi, (z ryciną).—Czyny naucząjące ułożone z historji starożytnéj i nowożytnéj.—Korespondencye.—**W dodatku:** Opowiadanie z trzeciéj podróży Krzysztofa Kolumba. XXI Bunt Roldana, (z drzeworytem). Roztrzepana dziewczynka. Powiastka ułożona przez Janinę P...ską.—Nasiona, (wiersz przez J. M.)—Poszanowanie przestrogi. - Szanujmy odzienie, (wiersz) J. Laskarysa.—Rozmowy z mamą.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 42 r. 1872.

MADONNA D'IMBEVERA

POWIEŚĆ Z XVI STULECIA

CEZARA CANTU

PRZEŁOŻONA Z WŁOSKIEGO

przez

JANA CHĘCIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

W tym to momencie ukazali się na tem samem wzgórzu, don Alexander i jego małżonka, sprowadzeni hałasem. Oczy ich padły na całą tę scenę, ale najwięcej uderzyli wzrok Sirtorego trzej bandyci, którzy cofnąwszy się na rozkaz pana i zaczaiwszy się za krzakiem przy początku ścieżki, ciekawi jak się ta awantura zakończy, wychylali z po za gęstwiny swoje szkaradne twarze. Brygida, która dotychczas drżała jak jagnię, gdy widzi i słyszy wilka wyjącego tuż pod słabą zagrodą co je od niego przedziela, zaledwie ujrzawszy damę, poskoczyła ku niej jak strzała wołając urywanym z przestrachu głosem:

— „Oh! jaśnie pani ocal mię! ocal mię droga.... kochana pani."

Niewiedziała co to za pani, lecz serce kobiet jest zawsze tak dla współczucia przystępne, że ukazanie się ich, bywa przez nieszczęśliwych uważane za pociechę, za bezpieczeństwo. I w samej rzeczy, donna Emilja tknięta litością, skoczyła z konia, poczem z sympatją jaką młodość i piękność przejmuje wszystkich i jakiej kobiety nigdy osobom płci swojej nieodmawiają, przyjęła w objęcia piękną przestraszoną, zachęcając męża słowami a więcej wzrokiem, aby stanął w jej obronie.

Prawdą jest, że kiedy kto widzi walkę słabego z mocnym, nie uczucie chrześcijańskie, ale pewno rozsądek ludzki, radzi mu trzymać stronę drugiego, i uważać występnym, burzliwym słabego, jeżeli nie z innej przyczyny, to chociaż z tej, że się ośmiela opierać silniejszemu. Ale szlachetność młodości, dzielność pięknie wykształconej duszy, skłaniały don Alexandra ku uciśnionemu, skoro się jeszcze przyłączyły do tego prośby małżonki i złowróżbne postępowanie Feodatarjusza, młody Sirtori niewachał się stanąć otwarcie w obronie tych dwojga nieszczęśliwych. Z największą zatem oględnością, zbliżywszy się do don Alfonsa, zapytał:

— „Czy niewolnoby wiedzieć, jaka jest wina tych biedaków?"

Ale gniew już zupełnie opanował duszę don Alfonsa który uważał że mu przeszkadzają w dopełnieniu sprawiedliwości, bo takie miano on i jemu podobni, nadawali zemście. To też ani zważając na słowa Sirtorego, powiódł chciwem okiem za dziewczyną opuszczającą święte schronienie, jak krogulec gdy widzi gołębia opuszczającego bezpieczne gniazdo, i z uśmiechem w którym myśl okrucieństwa łączyła się z myślą rozpusty, zawołał:

— „Aha! wpadłaś sama w nasze pazury! dalejże strzelcy! ona także jest wspólniczką, chwytajcie ją i zaprowadźcie prosto do zamku.

Młodemu rycerzowi wydało się niegrzecznem, i okrutnem, najpierw nieudzielenie mu odpowiedzi, a potem, rozkaz wyrwania tej dziewczyny z objęć wyższego rzędu kobiety. To też miarkując o ile możności tonem głosu znaczenie słów, zawołał:

— „Panie! radbym wierzyć, że rycerska uprzejmość i przyzwoitość, nie są ci obce."

Zmierzył go pogardliwym wzrokiem Feodatariusz i odpowiedział.

— „Znam moje obowiązki i nikt niepotrzebuje mi ich w moim domu przypominać. Potem zwróciwszy się do niepewnych jeszcze służalców, zawołał: „Czy nie do was mówiłem? pełnijcie rozkaz!

Brygida tuliła twarz do piersi żony don Alexandra, błagając:

— Na miłość Bożej Matki, ocal mię pani! będę się codzień modlić za ciebie do Stwórcy!.. ratuj mię albo zabij!..."

Cyprjan nie mogąc się ruszyć ze swego schronienia, wołał tylko: „ocal ją pani! ocal!

— „Ocal ją! wyrzekła także donna Emilja, zwracając do męża twarz zroszoną łzami, tę piękną twarz której litość dodała jeszcze blasku. Sirtori skierował cugle, spiął konia, jednym skokiem oddzielił kobiety od napastników i wymierzywszy przeciw nim ostrze myśliwskiego dzirytu, krzyknął:

— „Zdaleka służalce!"

Kto widział jak wybucha płomień, gdy nań wyleją spirytus, ten sobie łatwo wyobrazi, jakie wstrząśnienie, jakie oburzenie zrządził w don Alfonsie postępek Sirtorego. Nienawiść tłumiona aż dotąd pozorem uprzejmości, wybuchła zapamiętałym gniewem...

— „Co? wrzasnął z uśmiechem pełnym jadu; kto tutaj śmie zuchwale mięszać się do mojej jurysdykcyj? To są moi wasale, pogwałcili moje prawa, a kto im się opiera jest niewierny królowi. Precz ztąd!" I zwróciwszy się ku niemu, pochwycił cugle jego rumaka.

Chociaż podobny postępek należał do najdotkliwszych, podług ówczesnych wyobrażeń; choć każdy rycerz był nadzwyczaj w punkcie honoru drażliwy, i chwytał lada sposobność okazania męztwa lub umiejętnego władania bronią, tej prawie jedynej nauki szlachty, jednakże różnica wieku, położenie, doznana uprzejmość, powstrzymywały don Alexandra, który o ile mógł najspokojniejszym tonem, raz się jeszcze odezwał:

— „Ktokolwiek inny i w innem miejscu, zapóźnoby żałował, że się ośmielił mnie równemu uchybić. Tu jednak, jeżeli dobrze widzę, nie idzie o sprawiedliwość; nie znam na świecie prawa ani obyczaju, któreby pozwalały porywać dziewczęta i znieważać poświęcane miejsca. Dopóki też zdołam utrzymać broń w ręku, niedozwolę nigdy, gdziebądź aby w obec mnie popełniano tego rodzaju nadużycia."

— „Nadużycia? zawołał drugi w nadmiarze wściekłości,—zarozumiały dzieciaku! to ty popełniasz nadużycie, domagając się abym ci zdawał sprawę z moich czynności! Zadałeś kłamstwo moim wyrazom, jak gdyby pochodziły z ust lada chłopa; zwracam je więc tobie, ogłaszając cię tchórzem, nikczemnikiem i będąc gotowym poprzeć to z orężem w ręku. Broń się! bo mam piekielną chęć przekonać cię jakie ciosy zadaje ten ostrz, co nie od dzisiaj pragnie się krwi twojej napić!"

Że Isacchi nie myślał wcale o wznieceniu kłótni, mając zupełnie inne zamiary, jasno się pokazuje z jego najpierwszych rozporządzeń. Ale te niepowiodły mu się, już to z powodu zbytniego oddalenia od zasadzki, już też dla tego że miał za wiele ludzi około siebie, aby mógł się spodziewać że czyn wymagający tajemnicy, da się dokonać w ukryciu. Zabić jest zawsze zbrodnią, powiada prawo Boże i prawo natury; zabić w pojedynku jest nietylko dozwolonem ale nawet chwalonem, — powiada prawo światowe. Don Alfonso zatem, widząc że jedynie za pomocą pojedynku zdoła uskutecznić swój zamiar, doprowadził nieporozumienie aż do stanowczego wyzwania, raz dla tego że zapamiętałym w gniewie był chciwszym krwi niż kiedykolwiek: powtóre, że lekceważył nienawykłego jeszcze urągać się ze śmierci młodzieńca, którego nawet umiarkowanie w tej całej kłótni, uważał za tchórzostwo. Don Alexandrowi, wydało się też niestosownem, uchybiającem godności jego, nieprzyjęcie wyzwania: najwięcej zaś przyczyniły się do tego ostatnie wyrazy Feodatarjusza, w których zabrzmiała jedna z owych prawd, jakie mimowoli wymykają się z ust człowieka uniesionego gniewem. Skierować zatem konia, wydobyć długi sztylet przytwierdzony do siodła i przybrać gotową do boju postawę, było u niego przelotem błyskawicy. Toż samo uczynił przeciwnik, ale cała zajadłość, nieprzeszkodziła mu przybliżyć do ust rękojeści puginału i drżącemi usty wycisnąć na niej pocałunek w imieniu Bożej Matki, której obraz był tam wyrzeźbiony. Potem przystąpiono do walki.

Widząc tak niespodzianie uderzających na siebie, kobiety rzuciły się między przeciwników, starając się ich uspokoić, lecz przekonawszy się że to było daremnie pobiegły obie do kapliczki, upadły na kolana i zaczęły się modlić! Jednakże ich oczy wznoszące się błagalnie ku obrazowi Madonny, od czasu do czasu zwracały się mimowolnie i zatrzymywały na ostrzach puginałów, straszliwej broni, która po nad głowami walczących sypała błyskawicami śmierci, W duszach obu kobiet, jedno powstało życzenie, lecz kiedy wieśniaczka była prawie obezprzytomnioną, tak niezwykłym widokiem, na licach donny Emilii razem z obawą, malowało się i pewne zadowolenie na widok don Alexandra, okazującego szlachetność i odwagę, przymioty które się zawsze podobają kobiecie zwłaszcza w tym, do którego ma prawo.

Myśliwi Feodatariusza ustawili się rzędem po jednej stronie; naprzeciw nich stanęli słudzy Sirtorego, spoglądając jedni na drugich z pod oka, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Na wszelki przypadek i my tu się na coś przydamy." Cyprjan, który w czasie kłótni, jak nakręcona maszyna, obracał zaciekawiony twarz i otwarte usta na tego z dwóch panów który przemawiał, teraz przyparty ciągle plecami do kapliczki, łączył bezmyślną modlitwą z modłami kobiet, niespuszczając oka z walczących, i tak rękami jako i całą postacią naśladując każde ich poruszenie. O kilkanaście kroków dalej Guercio i dwaj jego towarzysze, ze drżeniem przyglądali się bójce i mówili do siebie: „Zdaje się że nasz pan, chce nam oszczędzić fatygi!..

— „A mnie się zdaje, szepnął Guercio, że ten młokos chce nam oszczędzić kilku dzbanków wina, a może i lepszéj gratki, którą nam Orso obiecał".

— „Nie cieszyłbym się—wtrącił trzeci—gdyby mi przepadł uczciwy zarobek".

Wkrótce się okazało, że młodzieniec bierze nad

drugim przewagę. Isacchi był jak rozsrożony tur, co napada z zamkniętemi oczyma; don Aleksander chłodniejszy i przezorniejszy, z lewą ręką założoną, po nad biodrem za plecy, prawą wzniesioną, z okiem wlepionem w broń nieprzyjaciela, unikając lub odpierając ze spokojną zręcznością jego ciosy, zdawał się niechcieć ugodzić go śmiertelnie. Żywił on jeszcze nadzieję, jakiéj doznaje każdy zacny człowiek, mimowolnie przywiedziony do takiéj ostateczności, że okupi całą tę sprawę jakiemś drobnem draśnięciem, lub zdoła całkiem uniknąć krwi przelewu. Don Alfonso, pragnąc koniecznie zabić przeciwnika, wymierzył cios z góry na dół z zamiarem ugodzenia go w głowę; młodzieniec odbił z szybkością jego broń i jednocześnie skierował sztylet ku piersiom Feodatarjusza. zadając pchnięcie, tak umiejętnie lekkie, aby go ledwie drasnąć. Z wielkiem jednak zdziwieniem uczuł przeszkodę, która go łatwo naprowadziła na domysł, że don Alfonso ma pod koletem zbroję. Téj krótkiéj chwili, o mało nie przypłacił życiem, ponieważ nieprzyjaciel, korzystając z przewagi jakiéj mu nadawało uzbrojenie piersi, wybrał ten właśnie moment, aby skierować ku głowie don Aleksandra powtórny cios, który przeniknął dreszczem strwożone kobiety. Sirtori oburzony tak niegodnym podstępem i widząc śmierć prawie tuż przy sobie, w mgnieniu oka zmierzył puginał ku puginałowi przeciwnika, wspiął się na lewem strzemieniu, silnem natarciem odtrącił uzbrojoną rękę i jednem potężnem pchnięciem, przebił mu głowę.

Zachwiał się i spadł z konia Isacchi, lecz upadając zawołał: „do mnie!"—co było umówionem hasłem napadu. Usłyszawszy to, gajowy rzucił się ku don Aleksandrowi, krzycząc: „morderstwo! morderstwo!" trzéj zaczajeni wypadli także z kryjówki, ale już z mniejszem zuchwalstwem; służba z obu stron ruszyła przeciw sobie. Cyprjan, ulegając temu pierwszemu popędowi, co w charakterach otwartych uprzedza rozwagę, wyskoczył ze swego schronienia, rzucił w górę kapelusz i krzyknął.

— „Vivat! Orso nie żyje!

Czy zabicie człowieka, choćby przyniosło największą chwałę, może nam sprawić rozkosz?.. Nie sądzę. Wiem tylko, że don Aleksander widząc przed sobą istotę która dopiero co myślała, mówiła, działała, a teraz z jego przyczyny miała się wkrótce stać kawałem bezdusznéj materyi, pastwą robaków,—popadł w chwilowe osłupienie. Mogło się ono stać bardzo zgubnem dla niego, bo go czyniło bezbronnym przeciw pierwszemu napadowi gajowego, który uderzył nań z tyłu. Na szczęście Cypryan żałując, że pierwszym wybuchem radości śmiał znieważyć umierającego i chcąc naprawić ten postępek, jednym skokiem zagrodził drogę napastnikowi. Tymczasem brawurowie Sirtorego dzielnie odpierali przeciwników, dopóki ich pan ocknąwszy się z osłupienia, niekrzyknął tonem groźnego rozkazu:

— „Na dół broń!"

Były to słowa zaczarowane. Gajowy opuścił ręce, i czy to skutkiem nawyknienia do posłuszeństwa pańskim rozkazom; czy naturalnéj a często zgubnéj przychylności, jakiéj człowiek użycza szczęśliwszemu w podobnych sprawach; czy też wahania się widocznego w towarzyszach, którzy zuchwali i podli jak wszyscy niewolnicy, widząc pokonanym tego, co swoim cieniem osłaniał ich łotrostwa, okazywali się więcej usposobionemi myśléć o własnéj skórze niż o pomszczeniu drugich; otóż gajowy powodowany tem wkzystkiem zapewne, zarzucił na ramię samopał, spojrzał z ukosa na ranionego i zawoławszy mu nad głową: „dobrze ci tak, nabroiłeś też dosyć!" zwrócił się do towarzyszy, dodając: pójdźcie ze mną!"

Oczy don Alfonsa ciągle wlepione w niego, widząc, że się oddala, przybrały połysk szkła i wyraz rozpaczy, jak wzrok człowieka słyszącego trzask gałęzi, któréj uczepił się po nad przepaścią. Strzelcy Feodatarjusza, porozumiawszy się spojrzeniem i szepnąwszy do siebie: „lepiéj się ztąd wynieść" jedni pod pozorem sprowadzenia chirurga, drudzy księdza, rozbiegli się po lesie. Trzéj brawurowie dążyli ku zamkowi z gajowym, który nagawędziwszy się z niemi o całéj awanturze, rzekł:

— „Wiecie co? umarły do grobu, żywy do karczmy. Trzeba nam pomyśléć o ocaleniu własnéj skóry i o kawałku chleba na przyszłość. W pałacu jest co niemiara cekinów. Sam stary djabeł niezdoła mię wstrzymać abym tam nie poszedł i nie obłowił się po uszy. Ten zabijacz ludzi pewno nieprzywędruje nam przeszkadzać, a w każdym razie, chcąc z nami trafić do ładu powinien się był wcześniéj urodzić Służba zamkowa sama przytrzyma nam worka, jeżeli nie, krótko się z nią sprawimy. Co zaś do tych bydląt wieśniaków, biorę ich stu na moją własną osobę. A potem z dobrze naładowanemi workami, z naszemi armateczkami na ramieniu, będziemy sobie drwić z calutenkiego świata!

Towarzysze przyklaskiwali tylko tym prześlicznym zamiarom, i podążali co raz śpieszniéj, rojąc rozkoszną przyszłość; to znaczy przyszłe niegodziwości.

Tymczasem w lesie, około don Alfonsa zrobiło się milczenie, jakie zwykle otacza człowieka będącego nad brzegiem grobu. Donna Emilja przygotowała na prędce bandaże do owinięcia rany; zwycięzca z założonemi rękami i spuszczoną głową, patrzał smutnie na umierającego, pocieszając go słowami współczucia; Cypryan podtrzymywał mu głowę; ten Cyprjan który niedawno drżał przed zapalczywem jego spojrzeniem, starał się teraz ulżyć jego cierpieniu i chłodząc oddechem swoim ranę Feodatarjusza, powtarzał: „Biedny człowieczysko!" Brygida ocierała fartuszkiem pot spływający obficie po jego czole, mówiąc: „Pamiętaj panie o Bogu, poleć się Jego miłosierdziu bez granic; uczyń akt skruchy; odpowiadaj myślą na „Salve Regina" które odmówię nad tobą.

Oh! ciemiężcy!

Don Alfons czując uciekające życie. dał znak aby go przeniesiono do stóp kapliczki. Tam wzniosłszy ręce i zamglone bliską śmiercią oczy, ku świętemu obrazowi, rzekł słabym i przerywanym głosem:

— Sprofanowałem miejsce Twego przybytku gwałtem i krwią; przebacz!

Był to skutek dawnéj zabobonności. która mu więcéj wyrzucała pogwałcenie świętego miejsca, niż zamierzone morderstwo. Po chwili mówił daléj:

— „Wysłuchaj jednak mojéj ostatniéj prośby."

To rzekłszy zaczął szukać czegoś na swojéj piersi; obecni mniemali, że to zwykłe, machinalne poruszenie umierających, którzy zdają się chcieć otrząsnąć z przelotnych rzeczy tego świata. Ale wkrótce ujrzeli, że wydobył medaljon i kluczyk, zawieszone na łańcuszku; medaljon pocałował i wskazując na niego, wyrzekł gasnącym głosem: „To, ofiarujcie Madonnie"—potem zwróciwszy się do Sirtorego, podał mu kluczyk, mówiąc:

— „Tam w zamku... po za dywanem mego pokoju.... twoja matka... Idź sam uwolnić ją... ty sam." A po chwili, ścisnąwszy mu rękę dodał: „Ty sam"..... To powiedziawszy oddał ostatnie tchnienie.

Kobiety głośniejszym wybuchły płaczem; wszyscy obecni padli na kolana i odmówili *De profundis*; potem służący naciąwszy gałęzi, zrobili z nich nosze, na których złożywszy trupa, wyruszyli do zamku. Brygida i Cypryan nie umiejąc dość wydziękować Madonnie d'Imbevera, i dwojgu dostojnym małżonkom, wrócili do domu, wśród téj radości pomieszanéj z trwogą, jaka następuje po wielkiem a unikniętem nieszczęściu. Po drodze rozpowiadali o wypadku, ale z taką gorączką i nieładem, że nie można było rozumieć, jak tylko: że Orso di Barzago umarł, i to umarł jak święty.

Wiadomość ta niezadługo rozniosła się po całéj gminie. Właśnie pan syndyk wybierał ze swego poletka najdojrzalsze kiście kukurydzy, kiedy ktoś nadbiegł wołając:

Panie syndyku, mam nowinę od któréj w głowie się wam zawróci!

— „Aj! cóż tam takiego? zapytał Isidoro.

— „Nasz pan nieżyje.

— Kto? wrzasnął syndyk wypuszczając pęk kukurydzy i wytrzeszczając oczy: „Orso nie żyje? co ty mi ptaszku śpiewasz? widziałem go dziś rano zdrowiuteńkiego jak rybę!"

— „Być może, ale go późniéj zabili, odpowiedział tamten; zobaczysz pan, bo go niosą w tę stronę nieżywego na piękne."

Tymczasem nadbiegli i inni wieśniacy z potwierdzeniem wiadomości. Syndyk nie żartem uradowany, rzucił wszystko i zawołał na ludzi: „za mną chłopcy, kto wie czy się tam na co nie przydamy!" I wziąwszy na ramię motykę, ruszył szybkim krokiem do lasu, pociągając za sobą wszystkich spotkanych po drodze z widłami, cepami, motykami, z czem kto był przy robocie. Ale nie uszli daleko, gdy syndyk zatrzymawszy się nagle, rzekł:

— „Hola chłopcy! don Alfons niezostawił dzieci, hę?

— Juści, że nie! wrzasła jednogłośnie gromada.

— A więc, mówił daléj Isidoro, odzyskujemy wolność!

— Wolność? wolność? powtarzali wieśniacy spoglądając jedni na drugich, jak ktoś, co słysząc wyraz, nierozumie jego znaczenia,—i coraz bardziéj ściskali się koło syndyka.

— Naturalnie, że wolność, bo gdy właściciel nie pozostawił ani dzieci ani krewnych, to feodalność przypada królowi, a my wracamy do wolności jak przed ośmdziesiątym rokiem (¹), to jest, że będziem winni posłuszeństwo tylko królowi, którego niechaj Bóg jak najdłużéj zachowa. Znam ja dobrze te rzeczy, boć nie od wczoraj kieruję sprawami gminy choć mi to djabelnie było ciężko pod tym szatanem. Ale się wreszcie skończyło to psie życie, a teraz chłopcy, co za radość, jakie dobrodziejstwo!!

I nie będziemy już płacić?.. zapytał ojciec sześciorga dzieci, któremu poborca zabrał kocioł. za to że nie miał ani szeląga na spłatę pogłównego.

— „Co za głupota! odparł Isidoro; będziemy płacić, ale już naszych pieniędzy nie wpakuje sobie w kieszeń żaden panek, tylko pójdą do Hiszpanii, gdzie biją złote dublony.... Niech żyją nasze przywileje, niech żyje kraina szczęśliwości!

I rzucił w górę kapelusz, co inni ochoczo powtórzyli krzycząc „niech żyją przywileje!" nie mając o nich najmniejszego wyobrażenia, jak się to zwykle przytrafia tłumowi, a często i tym, co tłum prowadzą. Jednakże wszyscy udawali, że wiedzą tyle co i syndyk a nawet więcéj, tylko, że żaden z nich nie posiadał téj uczciwości, bezinteresowności i prawości zamiarów, jakie zdobiły duszę zacnego Isidora.

W połowie drogi spotkali niosących zmarłego. Lud cisnął się w około noszów, jak gdyby chcąc się zapewnić, że don Alfonso naprawdę poległ. Widząc go martwym, ci co dawniéj taili jego prawdziwe występki, teraz wyjawiali nawet fałszywe; ci co najwię-

(¹) 1580.

céj mu się płaszczyli gdy był potężnym, teraz okazywali najwięcéj zuchwałości, znieważając podle bezwładnego; były to sceny wcale nie nowe na tym biednym świecie. Rozumniejsi tylko, odmawiali modlitwy, a wikaryusz, który także powinien był się poczuć do obowiązku dowiedzenia się, czy tam nie będzie potrzebna jego duchowna pomoc, wołał:

— „Słyszycie dzieci? uczcie się! *Vidi impium superexaltatum et elevatum super cedros Libani; transivi, et ecce non erat.*" (*)

Lud nierozumiał nic, jednak przyświadczał wszystkiemu.

Ma słuszność proboszcz dobrodziéj! to się nazywa mówić! Już mu się od dawna kreski zbierały. Ja sam nie raz mówiłem, że mu na taki koniec przyjdzie."

Ale tłum otaczający zmarłego, powstrzymywał i opóźniał don Alexandra, któremu ostatnie słowa Feodataryusza, prawie mowę z podziwu i przerażenia odebrały. Drżenie i wyczekiwanie rolnika, kiedy w sierpniu błaga niebios o trochę deszczu na spalone pola, kiedy widzi nareszcie zbierające się chmury, ale wraz z niemi słyszy daleki, głuchy grzmot, widzi zaciemniające się niebo, przeciągłe złowróżbne błyskawice, i nie wie czy to będzie deszcz co orzeźwi, czy grad co dokończy zniszczenia, da się najlepiéj porównać z wyczekiwaniem don Alexandra. Miał się dowiedzieć, czy jego matka którą od tylu lat opłakiwał jako umarłą, była jeszcze przy życiu; czy ten dzień będzie najpiękniejszym dniem jego istnienia, czy przyniosłszy okropny zawód, odkrycie jakiéjś straszliwéj prawdy, stanie się dlań dozgonną boleścią. Nie przestawał więc powtarzać: „naprzód dzieci, naprzód!"

I cała chmara postępowała ku Barzago, powiększając się jak potok w swym biegu, bo ani kobiety, ani starcy, ani dzieci nie pozostały w chatach. To też jak po zabiciu wilka, przed którym cała okolica drżała, wszyscy zbiegają się aby go widzieć, dotknąć,—tak i tam w koło nieboszczyka powstał tłok, popychanie, wrzask, groźby, rozpowiadanie. Przybywszy do szubiennicy która nie naprożno sterczała naprzeciw zamku, zburzyli ją z wściekłością, bo wtedy było zwyczajem chwilowo oswobodzonych, burzyć to, co się im w poprzednim porządku rzeczy niepodobało, oby nowemu, zadać kłopot odbudowania.

Do zamku dostał się już pierwéj gajowy z towarzyszami; służbie, która ich obstąpiła dokoła, doniesli o śmierci pana i trochę pochlebstwem, trochę groźbą, zmusiwszy ją do powolności, zabierali się do plądrowania domu w nadziei znalezienia pieniędzy. Niezadługo jednak, dał się słyszeć najpierwéj głuchy, oddalony szmer, potem coraz głośniejsze coraz bliższe wrzaski, nareszcie ukazali się wszyscy wieśniacy wchodzący na wzgórze z groźnym okrzykiem:

— „Wiwat! daléj do zamku! do zamku! zburzyć zamek, do szczętu! do szczętu!"

Lud choćby tak nieliczny jak wieśniacy z Barzago, chociażby uzbrojony tylko kijami i motykami, napędzi strachu daleko odważniejszym łotrom niż brawurowie don Alfonsa. Jednakże ci, widząc się otoczonymi, nie widząc jaki obrót weźmie rzecz cała, a wiedząc, że odwaga podwaja ludzi,—podnieśli most, pospuszczali brony, i wychyliwszy paszcze samopałów ze strzelnic zamkowego muru, zawołali: „napowrót hałastro!"

Hałastra niespodziewając się tego, zaczęła ustępować napowrót. Lecz Sirtori, który siedząc na koniu przewyższał tłum, wysunąwszy się naprzód i wzniosłszy rękę na znak pokoju: „Zgodą! zawołał,—zgodą nie czyńcie krzywdy nikomu, a daje słowo szlacheckie że i wam nikt krzywdy nie uczyni. Będziecie mogli pójść gdzie wam się spodoba, zapłacę wam zaległe zasługi, ale na Boga! pozwólcie mi wejść do zamku! Patrzcie, nieboszczyk wasz pan, dał mi ten klucz i polecił, abym sam otworzył gabinet za jego pokojem, ponieważ tam zamknięta moja matka, hrabina Perego. Może wy o tem wiecie. Chciejcież co prędzej dozwolić mi ją widzieć, ocalić, nie żądam niczego więcéj, a pewno nie będziecie ze mnie niezadowoleni!

Temi słowy przemawiał z tak głębokiem wzruszeniem, że oczy wielu obecnych napełniły się łzami. Gajowy, wspólnik wszystkich zbrodni swojego pana, pamiętał dobrze, jak przed wielu laty, porwał w lesie tę damę; wiedział że zawiózł ją do zamku, ale tam znikła. Co się z nią później stało, ani wiedział ani chciał wiedzieć; to go już wcale nie obchodziło. Zdawało mu się tylko, że oddawna umarła i została pochowaną.

— „A jeżeli—myślał gajowy—jeżeli ona żyje...jeżeli mój pan zachowywał ją tak długo dla jakiejś wymyślniejszej zemsty? Czyż podobna aby był słaby do tego stopnia, żeby miał ni ztąd ni z owąd zaniechać tyloletniego dzieła? Po takiem rozumowaniu, przyszła mu myśl, że to może jest tylko podstęp Sirtorego, albo, że może i naprawdę umierający dał mu klucz od skarbu, jaki podług przekonań ludu, w każdym zamku musi być przechowywany. Skorzystał więc z niecierpliwości don Alexandra, aby z nim zawrzeć pewien rodzaj kapitulacyi.

— „Jaśnie pan widzi, że jak dwa a dwa cztery przy pomocy tych ludzi mogę się w zamku bronić przez miesiąc, a tymczasem hrabina, jeżeli dotąd nie umarła, umrze. Jednakże gdy jaśnie panu tak pilno tu wejść, wpuszczę waszą wysokość razem z jego służbą na dziedziniec i porozumiemy się lepiej. Ale najpierwej proszę o słowo honoru, że jaśnie pan pozwoli mnie i moim towarzyszom, wyjść ztąd ze wszystkiem co mamy przy sobie, bez żadnej krzywdy.

Jakkolwiek poniżającem było dla don Alexandra wchodzić w układy z takiemi ludźmi, pragnąc się jednak czemprędzej wydobyć z niepewności, odpowiedział bez wahania. Tak! tak! przyrzekam to wam wobec Boga i tych poczciwych ludzi!"

Wtedy spuszczono most; czterej słudzy don Alexandra weszli naprzód, za nimi on i nieodstępująca go donna Emilja, wjechali na koniach, lecz niepodobieństwem było przeszkodzić, aby kilku zuchwalszych pachołków prawie poprzyczepianych do koni, nie wtłoczyło się na dziedziniec, pociągając za sobą cały tłum ludu. Otoczeni ze wszystkich stron brawurowie daremnie grozili i kułakowali, życie ich było w niemałem niebezpieczeństwie. Ale poczciwy syndyk, któremu byłoby niesłychanie przykro, gdyby nie mógł podług wszelkich form objąć posiadania zamku w imieniu gminy, i który niepamiętał jak sobie postępowali jego poprzednicy w razie powstania, zaczął krzyczeć:

— „W imieniu prawa, do porządku! jeśli wypadnie kogo zabić, czekajcie aż wam rozkażą." Wikaryusz zaś który tak mimowolnie znalazł się w pośród tego ścisku, podobny do schwytanego drozda, co kręci głową na wszystkie strony i wciskając ją między pręciki potrzasku, probuje czy mu się nie uda wymknąć, zapomniawszy cytat i metafor, chwytał to tego to owego za rabaty od kaftana, mówiąc:

— „Bądźże spokojny,—miej rozum,—upamiętaj się,—inaczej wprowadzicie w kłopot i mnie, który w tem wszystkiem jestem niewinny jak baranek.

Podobne namowy przychodziły w pomoc brawurom, którzy korzystając z czasu, skupili się na nowo i przerznąwszy się przez tłum, opanowali wejście do pałacu, pospuszczali z łańcuchów psy, zagrodzili zupełnie przystęp i znowu zaczęli przeklinać, wymyślać, przyrządzać samopały, grożąc że wszystko wydadzą na pastwę ognia i rzezi.

Don Alexander niemało się utrudził, zanim zdołano nakłonić lud do jakiej takiej spokojności: syndyk postawił przy głównej bramie dwunastu najzaufańszych ludzi, aby nie wpuszczali nikogo; wtedy dopiero gajowy, okazując zwyczajem wielu tem więcej odwagi, im mniej widział dla siebie niebezpieczeństwa, i chcąc z niecierpliwości don Alexandra wyzyskać pieniądze wraz z ocaleniem, zaczął niby w najuczciwszej wierze działający, rozwodzić skargi na nie dotrzymanie przyrzeczenia i podwyższać swoje pretensye.

— „Teraz, kiedy jaśnie pan idzie z nami na ostre, krzyczał, uderzając w ziemię kolbą samopału, nikt już tutaj nie wejdzie, nikt; ani jaśnie pan, ani żaden z jego służących, dopóki ręka i oko moje, będą zdolne ugodzić kulą samopału każdego zuchwalca. Koniec końców, aby niegadać wiele, daj mi jaśnie pan ten klucz; ja znam najlepiej wszystkie kryjówki pałacu; pójdę poszukać sam ... jeżeli nie, zatrzymaj się jaśnie pan ze swoją ciekawością, dopóki mnie się podoba.

Gajowemu szło najwięcej o zdobycie owego klucza ponieważ myślał sobie: albo się pod nim znajdują pieniądze, które zabiorę jak swoje, albo zamknięta nim hrabina, która posłuży mi za rękojmię wszystkiego co zechcę. Jednakże upominanie don Alfonsa aby Sirtori osobiście uwolnił swoją matkę, wstrzymywało ostatniego, chociaż nie mógł odgadnąć powodu konieczności, narzuconej mu przez nieboszczyka. Syndyk wystąpił naprzód ofiarując się jako reprezentant gminy, wejść do pałacu sam i dokonać poszukiwania, ale gajowy postawił nogę na murze i podniósł samopał. Nie chcąc zatem przelewu krwi który oprócz krzywdy bliźniego, ściągnąłby prześladowanie sprawiedliwości, don Alexander zdecydował się powierzyć klucz gajowemu, który marząc zawczasu o stosach złota, skwapliwie się z nim oddalił.

Czy nieprzyszedł ci kiedy mój czytelniku kaprys pójścia tam, gdzie ciągną numera loteryjne? Wszakże człowiek światowy powinien widzieć wszystko, nawet szaleństwa, nawet głupstwa. Obszerny dziedziniec przepełniony ludźmi, ma się rozumieć klass niższych, drży od zgiełku tysiąca głosów; każdy głos dźwięczy inaczej, choć wszystkie jeden mają powód jeden przedmiot,—ciągnienie numerów. Tamten, nabył swój los od kogoś przypuszczonego do tajemnic fortuny; inny ułożył numera ze snu jasnego jak słońce; trzeci wywróżył i ułożył je sobie z powieszonego w tym tygodniu biedaka; ta znowu kumoszka, włożyła swój bilet loteryjny w jamę oka trupiej głowy,—w nocy śnił jej się ogień; gwarzą, słuchają, udzielają rad jedni drugim; na każdej twarzy niecierpliwość i obawa. Nic dziwnego. Niektórzy nie jedli śniadania aby postawić pięćdziesiąt centymów na loteryę: ten znowu, wybił swoją żonę, bo zamiast mu dać pieniędzy na loteryę chciała koniecznie kupić za nie bochenek chleba dla dzieci. A może za chwilę, usłyszą wymieniony jeden, dwa, trzy numera właśnie znajdujące się na ich loteryjnym bilecie; może za chwilę kilkunastu biedaków, wybiegną uszczęśliwieni, aby uczęstować przyjaciół, sprawić im suty bankiet za część wygranej. Już obiecują to sobie, już naprzód rozporządzają na jaki użytek obrócą przyszłe bogactwo. Ale gdy na wzniesieniu ukażą się owi panowie urzędnicy z poważnemi minami, gdy rozpoczyna się ciągnienie, gdy niewinność kładzie prawicę w ur-

---

(*) Ujrzałem niegodnego wzniesionego i wywyższonego więcej iż Cedry Libanu, przeszedłem—i już go nie było.

nę nadziei, gwar umilka, cisza nastaje; wszyscy milczący jak ryby, wstrzymują oddech; wszystkie oczy, wszystkie oblicza zwrócone ku urnie, ku ciągnącej sierocie.

To porównanie, bez szkody dałoby się wyrzucić lub skrócić przynajmniej, dozwoli jednak wyobrazić sobie to, co nastąpiło na dziedzińcu zamku Barzago. Po nieznośnym zgiełku, nastała cisza oczekiwania: z wytrzeszczonemi oczyma, zadartemi brodami, wspinając się na palce, przed drzwiami któremi wszedł gajowy, stali wieśniacy wyobrażając sobie, że lada moment ukaże się, a z nim kobieta. Tutaj dopiero fantazya każdego z osobna nie żałowała sobie dziwacznych obrazów. Jedni widzieli ją bladą, wycieńczoną, upadającą jak Łazarz; inni piękną jeszcze, świeżą, promieniejącą, słowem, objawiającą się jak jeden z cudów, o których opowiadali prostaczkowie, pieśniarze wiejscy i księża.

Nagle, milczenie to przerwał okropny huk, podobny do armatniego, zadrżał cały zamek; sto głów wtuliło się w ramiona, sto ust wydało krzyk podziwienia i trwogi; potem czując mocny zapach siarki i widząc kłęby dymu wydobywające się jednem z okien, kobiety i trwożliwsi z mężczyzn zaczęli wołać: „szatan! szatan porwał pana i jego siepaczy.”

Podobne zabobony były tak powszechne i wkorzenione, że nietylko większa część z wieśniaków rzuciła się do ucieczki, ale nawet najodważniejsi pobledli. Brawurowie, którzy tyle razy napadając lub napadnięci stali oko w oko naprzeciw śmierci, teraz, w obec niewidzialnej siły przejęci panicznym strachem, rzucili broń na ziemię, wołając: „miłosierdzia! przebaczenia!” Pod syndykiem i wikaryuszem, nogi nie słabiej zadygotały i na wstyd krwi szlachetnej nawet sam don Alexander poczuł dreszcz przebiegający go od stóp do głowy. Jednakże on, odzyskawszy najpierwej ze wszystkich przytomność, poszedł śmiało ku drzwiom, ażeby dociec przyczyny tego łoskotu i dymu.

Tłum, od chwili jak sobie powiedział, że to djabelska sprawa, ani myślał ruszyć za don Alexandrem. Wieśniacy zaczęli naglić wikaryusza o zaklęcie złego ducha; biedaczysko, nie mając wcale ochoty, musiał iść na ich czele. Blady jak gdyby widział przed sobą zgłodniałego wilka, trzepiąc modlitwy i egzorcyzmy jak na pytlu, szedł obok donny Emilji modlącej się także. Za niemi postępowali słudzy, wodząc dokoła wylęknionym wzrokiem i trzymając broń w ręku, jak gdyby mieli zamiar zabić na miejscu mieszkańca piekła. Na ostatku szedł syndyk, powtarzając drżącym głosem: „odważnie dzieci, odważnie!”

Tak zbliżali się do komnaty don Alfonsa. Wszystko było zaciemnione dymem, ale drzwi za makatą były otwarte; weszli.... co za widok! Gajowy z poszarpanem ciałem, leżał w potoku krwi na poprzek progu, również zamienionego w trzaski, przez wybuch ukrytej; pod nim pewnego rodzaju piekielnej maszyny. Młody pan, rzucił się w te drzwi i przy świetle pochodni, któremi przyświecali mu dwaj słudzy, zbiegł po krętych, nierównych schodach do podziemia, kiedy tymczasem syndyk stojący na górze, wołał: Niech się wasza łaskawość nie boi, na wszelki przypadek będziesz miał w nas obronę, my tu przecież także nie malowani!

Wiele schodów przebył Sirtori, zanim się uczuł na równym gruncie; tam, dostrzegł na ziemi coś czarnego: Boże! Boże! z jakimże pośpiechem, z jaką siłą uderzało w piersiach synowskie serce! Zbliżono światło i przekonano się, że to ludzka istota, że to kobieta. Don Alexander nieznał jéj, ale słowa umierającego i głos wewnętrzny, nie pozwoliły mu wątpić. Schylił się ku niej—niestety, leżała bez ruchu—nic niesłyszała, ani jednem drgnięciem nieodpowiedziała na głos powtarzający z niewysłowionem uczuciem; „m..tko! oh! moja matko!” Nieszczęsny pochwycił ją na ręce i pobiegł na górę.

Skoro blady, oblany potem, z włosami potarganemi, otoczony jeszcze niezupełnie rozproszonym dymem i oświetlony z daleka dwiema pochodniami, które niesiono za nim, ukazał się dźwigając nieszczęsną podobną do trupa matkę, syndyk się cofnął o kilka kroków, wikary podwoił liczbę egzorcyzmów, a donna Emilja podbiegłszy ku mężowi, przyklękła i podtrzymując zwieszoną głowę omdlałéj, zrosiła ją gorącemi łzami. Położono nieszczęśliwą ofiarę na łóżku, zaczęto ją rozgrzewać i cucić. Długa chwila upłynęła, zanim się przekonano, że jeszcze żyje. W tem ciele wycieńczonem długiemi cierpieniami, huk wystrzału silniéj rozlegający się w podziemiu, powstrzymał nagle wszystkie tętna życia. Jednakże wpływ powietrza i światła, ciepło, troskliwość syna i synowéj, zwolna przywróciły jéj zmysły. Serce zaczęło uderzać na nowo, krew zaczęła krążyć po żyłach. Nareszcie oprzytomniawszy zupełnie, spojrzała dokoła siebie. Nie znajdowała się już w ciemnicy, w rozpaczliwéj samotności tego grobu w którym tyle łez wypłynęło z jéj oczów. Ujrzała słońce, ujrzała ludzkie twarze i usłyszała tuż obok siebie głos co powtarzał:

— O! matko! matko! spojrzyj, jam twój syn, twój Alexander!

Czytelniku! jeśli nie byłeś nigdy w więzieniu, to nie możesz dokładnie pojąć radości, rozkoszy, jaką daje powrót utraconego powietrza, światła i przestrzeni, jaką daje dźwięk przyjaznych głosów, widok łagodnych twarzy i otaczające na nowo współczucie ukochanych, kochających osób. Téj radości, téj rozkoszy, tego nagłego przejścia z najwyższych cierpień do najwyższego szczęścia, doznała matka Alexandra. Zdawało jéj się, że po długim strasznym śnie, została nagle zbudzoną; że ta ciemnica, ten chleb i woda, ten brak powietrza i ludzi, nie mogły istnieć naprawdę.... a jednak czuła, że istniały.

Odzyskawszy cokolwiek sił, mogła opowiedzieć nareszcie, jak z lasku d'Imbevera, została porwaną i uprowadzoną do tego zamku. Z początku Feodataryusz był dla niéj grzeczny i uprzejmy, lecz skoro późniéj nie chciała uledz pochlebstwom, nadskakiwaniu i groźbom zabójcy swego męża, ten, zamieniwszy miłość na śmiertelną nienawiść, otoczywszy ją tysiącem zniewag, pogrzebał żywcem w podziemiu, gdzie Bogu tylko wiadomo jak długo i jakiem życiem przeżyła. Nie umiała powiedzieć ile dni, ile tam lat spędziła, bo nic nieprzerywało jednostajności tego strasznego istnienia; dziękowała tylko Bogu za tę jedyną pewność, że jéj syn, jéj drogi Alexander, uniknął zaciętéj zemsty don Alfonsa.

Badając bliżéj część budowy zawierającéj komnatę niezbłaganego mściciela, okazało się, że była położona tuż po nad podziemiem, gdzie jęczała nieszczęśliwa ofiara. Przy wejściu do tego grobowca, odmalowaną była trupia głowa w klatce, aby swoim widokiem przypominała niby prawdziwy powód zemsty. Sirtori oglądając próg, przekonał się, że maszyna zawierająca proch była tak urządzoną, iż każdy ktoby niewiedział z jaką ostrożnością trzeba go przestępować, musiałby nacisnąć sprężynę i koniecznie spowodować wybuch. Łatwo pojąć, że samemu tylko don Alfonsowi znaną była ta piekielna tajemnica. Syndyk, który ze swego obowiązku musiał się we wszystkiem dokładnie rozpatrywać, nie mógł pojąć co miała za znaczenie i dla kogo ta dziwna niespodzianka. Oświadczył zatem poważnie, że to była mina, ale dodał z mniejszą już powagą, że ani się domyśla co ta mina miała tam do roboty.

— „To narzędzie śmierci, mówił mu don Alexander; było przygotowane dla kogoś.”

— „Ależ dla kogo, spytała żona bledniejąc, Sirtori pobladł także i spojrzawszy na donnę Emilję, zamilkł.

Czyżby śmierć przeznaczono dla tego, ktoby zapragnął ocalić uwięzioną? Czy z zamiarem zaprowadzenia tam jej syna i w chwili, kiedyby się rzuciła w jego objęcia, zamordowania obojga? Któż to odgadnie? Widocznem jednak było, że umierający, zalecając usilnie don Alexandrowi ażeby sam osobiście wszedł tam po matkę, chciał uwieńczyć zemstę obmyślaną przez całe życie.

Proboszcz zajął się pogrzebem dwóch trupów, pana i sługi. Lud cisnący się tłumnie jak zawsze, w rozmaite sposoby przekręcał wypadek, który każdy opowiadał według swojego widzimisię. Rozumie się że djabeł, niemałą grał w tych opowiadaniach rolę. Mówiono, że nie mogąc porwać pana, który skonał na świętem miejscu, urządził się tak, aby przynajmniéj duszą wiernego sługi i prawie wspólnika jego niegodziwości, powetować sobie choć w części niemiłą stratę. Syndyk także czyniąc zadosyć ciekawości znajomych, musiał raz po raz komu innemu opowiadać wypadek, lecz kiedy przychodziło do wyjaśnienia powodu owéj piorunującéj maszyny, odpowiadał:

— „Ja, naturalnie, jako człowiek głębiéj rozumiejący te rzeczy, rozumiem wiele, ale wy choćbym wam nie wiem jak tłomaczył, nigdy niezrozumiecie.

Nazajutrz, don Alexander z żoną i matką, chcieli obejrzeć miejsce tylu wypadków i niebezpieczeństw. Było to święto Narodzenia Najświętszéj Panny; pogodne niebo, jasne słońce, zieloność lasu, lekki szum drzew, zdawały się sprzyjać mieszkańcom okolic Brianza. Tłum wieśniaków otaczał konia na którym siedział don Alexander i lektykę w któréj niesiono panie. Nie potrzebuję mówić, że syndyk znajdował się tam także dla przestrzegania porządku.

Kiedy się wszyscy zbliżyli do miejsca gdzie stała oberża, Cypryan, Brygida, ojciec i matka, wybiegli naprzeciw państwa.

— „Dzień dobry jaśnie państwu! wołał Cypryan z tysiącem nizkich pokłonów; właśnieśmy ich tylko oczekiwali, razem z winkiem jakiego i w waszych pałacach... to jest.. chciałem powiedzieć... niegorszem od pałacowych.

— „Rozumiem, odrzekł z uśmiechem don Alexander, ale przenieś wszystkie zapasy wina i żywności w pobliże kapliczki d'Imbevera, gdzie podziękowawszy Matce Bożéj za szczęśliwe zakończenie naszych boleści, uczęstujesz całe nasze zgromadzenie.”

Stanąwszy pod kapliczką, wszyscy obecni upadli na kolana, proboszcz poświęcił miejsce zbroczone krwią, lud, spodziewający się teraz lepszej przyszłości modlił się całem sercem.

Po modlitwie nastąpiła biesiada. Wtedy dopiero trzeba było widzieć naszego Cypryana, jak biegał, rozprawiał, machał rękami i obiecywał złote czasy.

— „Zginął, bo mu się tak należało, bo taki wyrok nieba, mówił Wikaryusz; ja tam straciłem jakąś pensyjkę, ale mniejsza z tem, kiedy moje owieczki będą szczęśliwsze. Jednakże szkoda że nie umarł po zbudowaniu kościoła, który mi zawsze obiecywał. Najmniej sto razy mówił że wybuduje świątynię pańską i osadzi przy niej kapelana!

(d. n.)

Opis do N. 41.

(Dokończenie)

N. 32. Tło w pasy. Jedwab biały i włóczka srebrno popielata. Kilka czarnych i jasno-fijołkowych ściegów, stanowi deseń ciągniony, środkowego paska. Boczne paski są ciemno fijołkowe.

N. 33. Tło w wachlarze. Deseń ten wykonywa się dwoma cieniami jednego koloru. Najpierw odrabia się jaśniejszym cieniem zwykłemi krzyżykami tło, po nad którem wystają wypukłe wachlarzyki, wyszywane skośnym ściegiem. Jeżeli w miejsce ciemniejszéj włóczki, użyjemy sznelki cieniutkiéj to robota zyska wiele na efekcie.

N. 34. Pas szydełkowy na kołdry, wałki pod głowę i t. p. Materjał: włóczka kastorowa fijołkowa na tło i brzegi, jaśniejszy cień na gwiazdki i żółty na środeczki gwiazdek.

Pas środkowy odrobiony jest ściegiem tunetańskim na 12 o. szerokości. Na szlaki odrobione, szydełkowym ściegiem w supełki, które już dawno opisywane były w Tyg. Mód, potrzeba robić * 1 o. śc. przewlec pentelkę przez następny rząd zrobić 6 o. pow. przerobić razem obie pentelki, znajdujące się na szydełku i powrócić od *. Każda gwiazdka o dwóch rzędach ząbków składa się z 13 odrobionych w jednym ciągu, z których 5 pierwszych po 6, a 8 następnych po 7 o. liczy. Każdy p. zakończa się o. śc. przewleczonem w o. śc. poprzedniego pik. Gwiazdki przyszywają się do tła żółtemi ściegami, stanowiącemi środeczki.

N. 35 — 36. Dwie haftowane pliski. Wyszyte jedwabiem w jednym lub dwóch odmiennych kolorach, pliski te służą jako przyozdobienie ubrań dla dzieci, kapturków, fartuszków, szczególniéj też pasują jako brzeg przy wyszyciu sznurem lub sutaszem.

N. 37—39.
Opisy na arkuszu dodatkowym.

N. 40. Kokarda z rzymskiéj wstążki.

Wstążka 6 cent. szeroka, użyta na kokardę, znaną jest pod nazwą rzymskiej. Kolorowe, wązkie, poprzeczne paski, przedzielane są szerszemi pasami różowemi i zielonemi. Przy przecinaniu wstążki potrzeba uważać, aby dwa spadające na siebie końce kokardy, były odmiennych kolorów. Dłuższy z końców wyciętych w ząb, jest oszyty różową jedwabną frendzlą, trzeci prosto ucięty koniec wysiepany jest u dołu.

N. 41. Kokarda
z jednokolorowéj wstążki.

Końce kokardy ze wstążki rypsowej 9 i pół cent. szerokiej, u dołu mają ażury z kratek wysiepanych z nitek poprzecznych i wiązanych takąż nitką. Frendzla wiązana otacza brzegi.

N. 42—43 Mantyla z wyłożeniem. Opis na dodatku.

N. 44—45. Haftowane pliski
kolorowym jedwabiem, zastosowane przy kaftaniku ryc. 37.

tylko odpowiednio zwężony powtarza się przy vêtement i karoczku. Stanik przybrany riuszką w górę stojącą i pliskami. Wolant naszyty na rękawach, przytwierdzony riuszą i pliskami jest 96 cent. długi, 15 cent. w środku i 9 cent. w końcach szeroki. Szeroki koniec od kokardy, wycięty jest w zęby objęte pliską.

N. 2. Ubranie spacerowe, z materjału koloru bordeaux. Spódnicę przystraja wolant skośny 18 cent. szeroki, pliska czarna aksamitna, z wypustką z materjału sukni, i frendzla jedwabna, naszyta wązką podwójną pliską. W górę stojące zęby, przepinane kokardami, układają się z kawałków czarnego aksamitu, objętych wypustką, 48 cent. długich i 8 szerokich, które w końcach ścinają się spiczasto i przez założenie trzech kontrafałd zmniejszają do 30 cent. długości. Vêtement z boków ozdobione ranwersami, ma dodany odpowiedni garnirunek. Szarfa do paska składa się z dwóch zwróconych ku sobie aksamitnych zębów, przefałdowanych, których złączenie przykryte jest kokardą z materjału sukni; dwa końce aksamitne oszyte frendzlą dopełniają szarfę.

N. 3. Płaszczyk spacerowy dla dziewczynki. Do paletocika z niebieskiego sukienka, zapinanego z przodu na wielkie guziki z konchy perłowéj, stanowi oszycie biała wełniana plecionka. Pelerynka przybrana z tyłu kokardą. oszyta jest oprócz wełnianéj plecionki, 5 cent. szeroką falbanką, wyciętą w ząbki.

N. 4—5. Patarafka składana. Malowanie nakrapiane. Materjał: tusz chiński albo sepja; mały grzebyk i szczoteczka do nakrapiania, zasuszone liście, trawy i kwiaty.

Cieniutkie i dobrze dopasowane deseczki ułożone i naklejone na płótnie w ten sposób ażeby się dały zwijać, służą za tło do patarafki; ozdobionéj gierlandą z liści, mchu i gałązek.

Sposób układania i przypinania liści i nakrapiania tła tuszem lub sepją, opisywaliśmy dokładnie w przeszłym roku i w początkowych tegorocznych Nrach Tyg. Mód, do-

deseczek drobniuchnemi špilkami. Wzór nasz ma 27 cent. długości, a 22 cent. szerokości.

N. 6—7. Poduszka do kanapy. Haft dziergany. Rycina 7 przedstawia w naturalnéj wielkości szóstą część gwiazdy do przyozdobienia okrągłéj poduszki. Wzór nasz dziergany jest białym kordonkiem, na cienkiem szarem płótnie; jak to wskazuje rycina brzegi deseniu odziergiwane są niezbyt gęsto, po za dzierganiem idą ząbki dziergane odwrotnie, jakie opisywaliśmy już przy robotach koronek, w dawniejszych Nrach Tygodnika. Od połowy gwiazdy tło jest wycinane, a przez wycięcia wygląda pięknie, kolorowe pokrycie z atłasu. Okrągła poduszka wypchana pierzem, wymaga białéj podszewki z szyrtyngu mającéj 33 cent. średnicy. Spód pokrywa się szarem płótnem, wierzch zaś kolorowym atłasem. Bufa atłasowa ułożona jest z kawałka 12 cent. szerokiego, 120 cent. długiego; z obu brzegów zmarszczonego i przyszytego do poduszki. Brzeg zębów gwiazdy pokrywa przyszycie bufy. Gwiazdę przytwierdza się kilkoma krytemi ściegami za każdy ząbek.

N. 8—9. Spacerowe kaftaniki dla dzieci.

Biała rypsowa plisa ³/₄ cent. szeroka, przestębnowana wzdłuż i wyszycie z białego jedwabnego sznura średniéj grubości, stanowi przybranie kaftaniczka wyciętego w zęby, z białéj w czarny rzucik flanelki, podanego z przodu na rycinie 8. Rycina 9 podaje także kaftanik z tyłu odszyty z cienkiego białego aksamitu wełnianego (velours).

N. 10—16. Dwa szaliki. Robota szydełkowa i na widełkach.

N. 10—11. Szalik zakończony frendzlą.

Na podany przez nas szalik, potrzeba złączyć szydełkowemi ząbkami, 6 lub 7 pasków roboty na widełkach po 74— 76 cent. długości. Jak to wskazuje rycina 11 cztery pikoty złączone są razem przez przewleczenie 1 o. ścisłego. Szczegółowego opisu nie podajemy, gdyż na próbce ryc. 11 dostatecznie wyjaśniony jest sposób łączenia pasków roboty na widełkach, nie jednokrotnie już podawanéj i opisanéj w dawniejszych numerach Tygodnika Mód. Nitki po 22 centym. długie składają frendzlę wiązaną, zakończającą brzegi szalika.

N. 12—16. Szalik
zakończony koroneczką.

Na matowe tło szalika i dwa brzeżne paski, potrzeba złączyć po dwa szlaczki roboty na widełkach po 76 — 80 cent. długości. W tym celu kładzie się dwa paski przy sobie i łączy szydełkiem przewlócząc naprzód jedno oczko przez pikot górnego, a potem przez pikot dolnego szlaczka jak to dokładnie rycina 13 przedstawia. Ażurowe łączenie już spojonych pasków składa się z dwóch rzędów szydełkowéj roboty, jak na ryc. 11 i podane w naturalnéj wielkości na wzorze N 14.

Rycina 15 podaje wzór koroneczki, zakończającéj brzegi, do roboty któréj dostateczny jest rysunek, gdyż podług niego można policzyć liczbę słupków i oczek powietrznych składających ząbki.

Na rycinie 16 podaliśmy wzór na którym dwa paski roboty na widełkach, połączone są tylko jednym rzędem szydełkowéj roboty. Robota wykonywa się w następny sposób: 5 o. pow. * 1 o. śc. następnie zbiera się szydełkiem 5 kolejnych pikotów szlaczku jak na ryc. 11, przerabia 2 o. pow. i 1 o. śc. w trzeci z pięciu żebranych pikotów i znów 5 o. powietrznych. Zebrawszy 5 pikotów drugiego paska powraca się od *.

N. 17. Zastosowanie pocięgla przy robocie bucików.

Rycina ta odnosi się do roboty bucików, któréj naukę wyłożymy w przyszłym N-rze Tyg. Mód, obszernie, z dodaniem rycin przedstawiają-



N. 1. Ubranie domowe. N. 2. Spacerowe ubranie. N. 3. Płaszczyk spacerowy dla dziewczynki.

Opis N. 42

N. 1. Ubrani

Przy branie popielatej wełnianéj sukni, stanowi wolant skośny 20 cent. szeroki, ułożony w kontrafałdy, z nagłówkiem z plisek i riuszy 2 cent. szerokiej. Takiż garnirunek

damy tylko że cyfrę środkową potrzeba starannie wycinać z papieru i przypiąć tym sposobem co liście i kwiaty do

cych niezbędne narzędzia i sposoby wykonania.

N. 18. Szlaczek wyszyty na skórze do fartuszka ryc. 17. Oszycie takie odpowiednie jest do fartuszków ceratowych i składa się z czarnéj wełnianej taśmy, podłożonéj z obu brzegów zieloną wełnianą plecionką. Do przyszycia plecionki służy gruby maisowy kordonek, ozdobiony ściegami czarnemi. W miejsce małych guziczków, pokrytych kolorowym jedwabiem naszywanych środkiem taśmy, odpowiedniejsze będą czarne kamienne guziki.



N. 10. Szalik zakończony frendzlą. Robota szydełkowa i na widełkach. Patrz ryc. 11, 13 i 16.

N. 19 — 20. Dwie cyfry z koronami. Haft atłaskiem.

Wzory te przydać się mogą nie tylko do znaczenia chustek od nosa i stołowej bielizny, ale również do przyozdobienia różnych robót. Obie te cyfry odrobić można dwoma kolorami.

N. 21 — 22. Dwa wzory do przyozdobienia guzików. Guziki ozdobione haftem zdadzą się nawet do kosztowniejszych sukien. Dwa deseniki przedstawione na rycinie 21—22 odrabiają się albo takimże jedwabiem jak tło, albo kolorowemi jedwabiami.



N. 4. Składana patarafka. Rozwinięta.



N. 5. Składana patarafka zwinięta. Patrz ryc. 4.



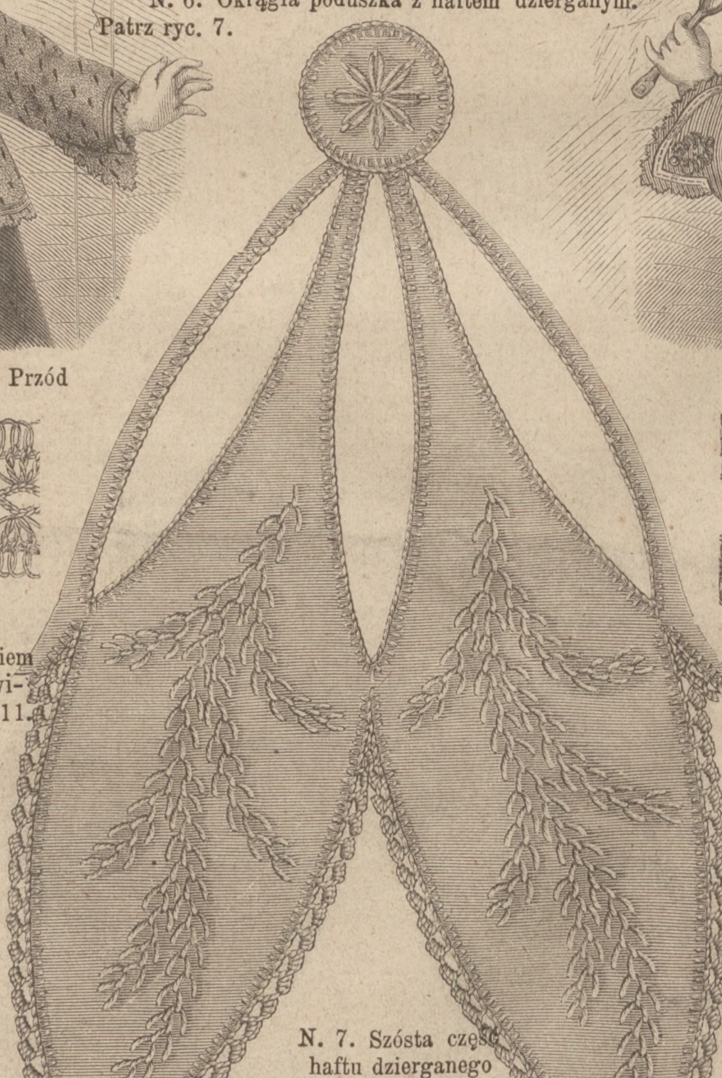
N. 6. Okrągła poduszka z haftem dzierganym. Patrz ryc. 7.



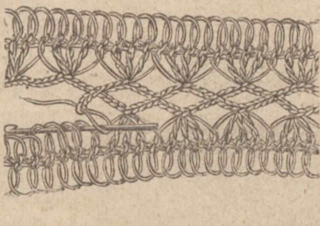
N. 8. Spacerowy kaftanik dla dzieci. Przód do ryciny 9.



N. 9. Spacerowy kaftanik dla dziecka. Plecy do ryc. 8.



N. 7. Szósta część haftu dzierganego do poduszki ryc. 6.



N. 11. Łączenie szydełkiem szlaczków robionych na widełkach do ryc. 10 i 11.

N. 23—24. Dwa strojne negliżyki.

N. 23. Muślinowy czepeczek fałdowaną główką. W zupełnie nowym guście ułożona jest przy muślinowym rannym czepeczku, z koronką, wstawką i różową wstążką, główka fałdowana, wśrodku 20 cent. długa, przedzielona w dwie bufy wstążką lekko środkiem przepiętą. Na taką główkę potrzeba skośnego, okrągławego kawałka, 20 c. szerokiego i 42 długiego, ułożonego z poprzecznych brzegów w równe fałdki 1 cent. głębokie i przyszytego do paska sztywnego tiulu z drucikiem.

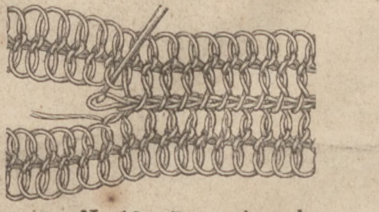
Na pasku przytwierdza się riusza, oszyta 1 cent. szeroką koronką i falbanka stojąca z przodu 3 cent. szeroka; z tyłu przyszywa się koniec 41 cent. długi, 26 cent. szeroki, zwężony do 10 cent. przez założenie podwójnéj fałdy, u dołu wycięty w ząb, w około zakończony 2 cent. szeroką wstawką i koronką. Na kokardy i przybranie upięte podług wzoru ryc. 23, potrzeba wstążki różowéj 3 cent. szerokiéj.

N. 24. Czepeczek tiulowy poranny.



N. 12. Szalik zakończony koronką. Patrz ryc. 11, 13 i 16.

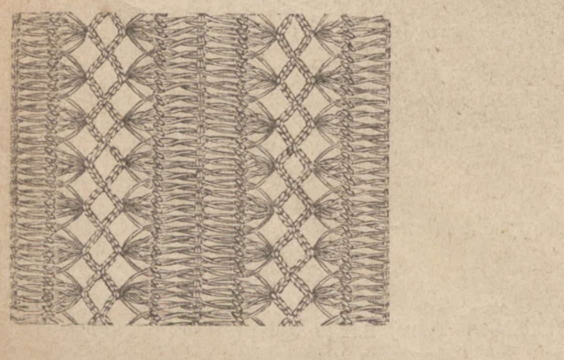
Podstawę czepeczka stanowi tiulowy trójkąt 11 cent. w środku wysoki i tyleż długi z brzegów prostych, trochę tylko zaokrąglonych. Z przodu $4^1/_2$ cent. szerokie rondko nakształt kapeluszowego, pokryte jest upięciem ze wstążki i przybrane fałdowaną koronką 4 cent. szeroką. Wstążka upięta między koronką jest 7 cent. szeroka i spuszcza się w końcach po 60 cent. długich, które według upodobania puszczają się wolno lub wiążą na karku. Na denku przytwierdza się pięć długich pukli, ze wstążki 5 centym. szerokiéj. Woalik z tiulu w rzucik 80 cent. długi, 14 cent. szeroki, śpiczasto ścięty u dołu, oszyty jest wokoło wstawką $^3/_4$ centy. szeroką i 2 cent. szeroką koronką. Prosty koniec woalika ułożony jest najpierw w jeden pukiel 6 cent. długi, przykrywający denko i w drugi pukiel 11 centym. długi, spadający na dół przepięty kokardą. Przez ten pukiel przewłóczy się wstążka 70 c. długa, 3 cent. szeroka, przewiązana w kokardę przytwierdzoną na woaliku.



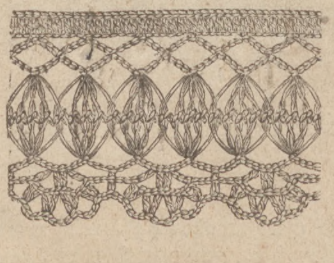
N. 13. Łączenie szlaczków robionych na widełkach.

N. 25. Serwetka na meble.

Prosta, wyszywana siatka. Materjał estramadura N. 6, 8 i 12, drewniany wałeczek, dwie linijki 1 i 1 i pół cent. szerokie; igliczka.



N. 14. Robota na widełkach łączona szydełkiem do ryc. 12. Zobacz także ryc. 11 i 13.



N. 15. Koroneczka brzeżna do ryc. 12. Zobacz ryc. 11.



N. 16. Robota widełkowa łączona szydełkiem do ryc. 10 i 12.

Serwetka mająca w kwadrat 40 centy. odrobiona z bawełny N. 8 powinna mieć z każdego brzegu po 63 centy. prostych oczek. Ażeby oczy szły prosto, potrzeba najpierw przybierać na początku każdego druta, aż do potrzebnéj wielkości, następnie znów gubić po 1 oczku na końcu druta. Na szlaczek idący w koło obrabia się 4 razy bawełną N. 6, na linijce 1 cent. szerokiéj i jak to na ryc. 25 widzimy, przy drugiem obrobieniu zrabia się razem 3 oczy, jednem.

W piątym rzędzie robionym na deseczce 1 i pół cent. szerokiéj robi się zawsze po 3 oczy w jedno, poprzedniego rzędu. Zakończenie stanowią obrobienia gładkie na okrągłym wałeczku.



N. 19. Łączona cyfra z koroną.

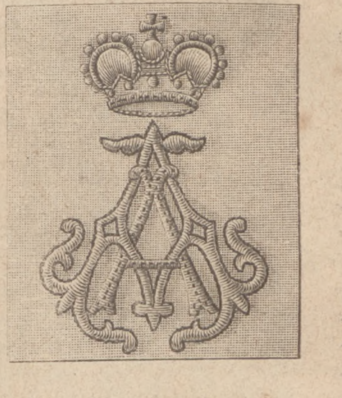
Przy pierwszem i piątem obrobieniu w rogach przybiera się odpowiednia liczba oczek. Do wyszywania używa się bawełna N. 12, części matowe deseniu wyszywa się zwykłem cerowaniem, części zaś ażurowe są obwodzone około węzełków siatki, jak to dokładnie znać na wzorze.

N. 26. Ubranie dla dziecka od 1—3 lat. Krój podany był przy rycinie 10 w N. 23 Tygodnika Mód. Podług powyższego kroju dopasowaną jest sukienka z szamoa alpagi, 50 cent. długa i 196 cent. szeroka, cała podłożona białą podszewką. U dołu naszyte plisowanie 4 centy. szerokie, przyciśnięte pliską 2 cen. szeroką i 1 centymetr szerokim nagłówkiem zakończone.

Takież pliski zdobią wykrój szyi i rękawków, z przodu zaś naszyte są w kształcie fartuszka. Plisowanie jest wszędzie 1 centy. szerokie.

Ładne dopełnienie przybrania stanowi brązowy jedwabny sznureczek, wraz z białym jedwabnym sutaszem, naszyty brzegiem plisek.

N. 27. Ubranie dla chłopczyka składające się z kurtki, kamizelki i majteczek. Krój patrz rycina 26 w N. 19 i ryc. 27 w N. 18 Tygodnika Mód. Na patki ścięte spiczasto, zdobiące ubranie z popielatego sukna, użyta jest niebieska jedwabna plecionka 1 cent. szeroka, albo aksamitka. Guziczki przytrzymujące patki są mosiężne, naśladujące złoto. Patki przy rękawach i majteczkach, ściągniętych na gummę poniżéj kolan, mają po 5 cent. długości. Patki przy kurtce ozdobionéj aksamitnym kołnierzem, są stopniowéj długości od 9 do 3 i pół cent. metrów. Kamizelka zapięta na guziczki, ma brzegi obszyte kolorową plecionką.



N. 20. Łączona cyfra z koroną.

N. 28. Krawatkowy kołnierzyk z muślinu i koronki. Część kołnierzyka otaczająca szyję, składa się ze wstawki 38 cent. długiéj, 1 i pół centym. szerokiéj, z dolnéj strony oszytéj marszczoną koronką; z górnéj stanowiącej stojący kołnierzyk, z wykładanemi rogami, daje się plisowaną falbanę, złożoną z 54 cent. wstawki, oszytéj od góry gładką koronką, a od dołu przyszytéj do paska muślinu, mającego 3 i pół cent. szerokości, przy końcach wywiniętych, a środkiem więcéj jak o połowę zwężonego. Rogi wywinięte, przyozdobione są aplikacją haftu, naszytą na wstawce. Spuszczone końce kołnierza mają po 12 cent. szerokości i po 24 cent. długości. Układają się w skośne fałdy z kawałka, mającego 90 cent. długości, złożonego jak i kołnierzyk z muślinu 3 cent. szerokiego, oszytego wstawką 1 i pół cent. i koronką 3 cent. szeroką, który przyszywa się w dwie strony, na podwójnym pasku muślinowym 1 cent. szerokim, przykrywając zeszycie fałdów na środku haftowaną aplikacją.

N. 29. Kokarda do kołnierzyka i do włosów.

Przy obu kokardach dwa skośno idące pukle po 12 cent. długie a 9 cent szerokie, są z jasno popielatéj jedwabnéj krepy wziętéj skośno i zaobrębionéj wąziutko na prawą stronę. Czarna koronka zszyta środkiem



N. 17. Wskazanie użycia pocięgla, do nauki szycia bucików, którą podamy w N. 44 T. M.



N. 21. Wyszywany guzik.



N. 18. Szlaczek wyszywany do fartuszków skórzanych.



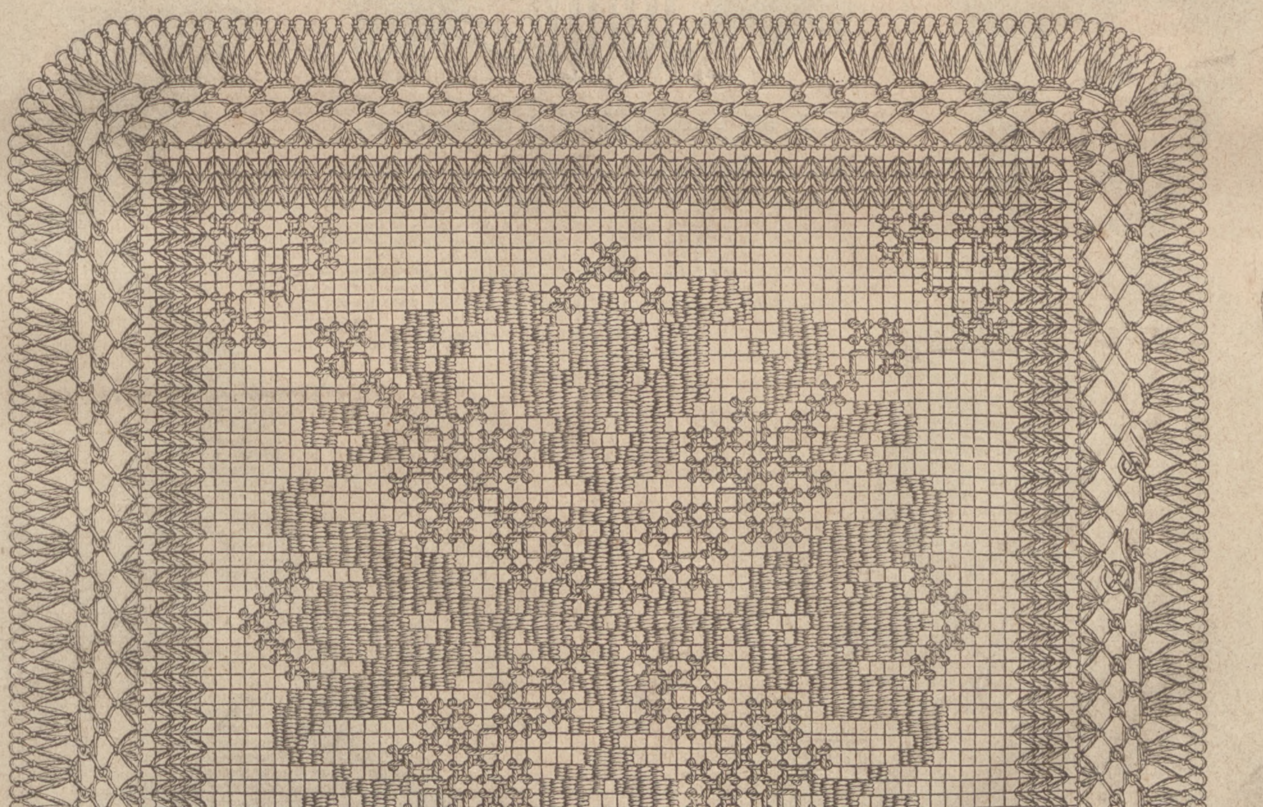
N. 22. Wyszywany guzik.



N. 23. Negliżyk muślinowy z fałdowaną główką.

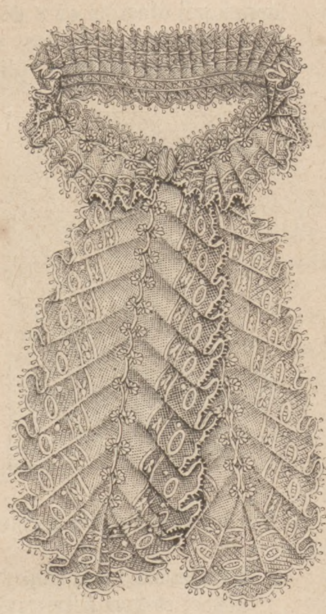


N. 24. Negliżyk tiulowy.



N. 25. Serwetka na meble. Siatka prosta wyszywana.

4 cent. szeroka, formuje drugie pukle; koronkowy koniec przy kokardzie do kołnierzyka, zszyty jest z 30 cen. koronki, a na zaokrąglenie trochę nadmarszczony. Z kawałka kwadratowego, mającego 4 cent. wielkości, układa się szeroki koniec, zakończony wiązaną frendzlą, wysiepaną na 7 cent. długości.



N. 28. Krawatkowy kołnierzyk z muślinu i koronki.

N. 30. Grzebień i śpilki do przyozdobienia głowy.

W obecnéj chwili wszelkie wyroby galanteryjne z szyldkretu jako to: broszki, kolczyki, bransolety, djademy śpilki i grzebienie bardzo są używane i modne. Podajemy czytelnikom naszym na rycinie 30 modny, wysoko wyrzynany grzebień, który wpina się wyżéj lub niżéj między pukle lub warkocze z tyłu głowy. Szpilkę można wpiąć jedną z boku lub dwie, a nawet trzy między sploty warkoczy.

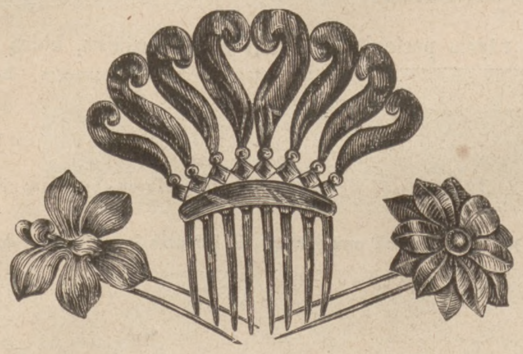


N. 26. Ubranie dla dziewczynki od lat 1—3. N. 27. Ubranie dla chłopczyka od lat 5—7.

N. 31—32. Ubranie domowe. Krój patrz rycina 7 i 8 w N. 41 Tygodnika Mód. Przybranie stanika z baskiną, wyciętego podłużnie, podanego z przodu i z tyłu na rycinach 31 — 32, składają trzy plisy 4 cent. szerokie z jasną wypustką i ząbki z materjału sukni objęte skosem $4^1/_2$ centy. szerokie, a $3^1/_2$ cent. wysokie. Marszczony wolant, wycięty w zęby i naszyty na wązkich rękawach, wymaga prostego kawałka 56 c. długiego i 15 centy. szerokiego. Tylna część baskiny od wykroju szyi jest 58 cent. długa boczne części do końca z ębów od wykroju pachy są po 58 c. długie. Kokarda przytwierdzona w stanie, ułożona jest ze skosów podszytych muślinem, 8 cent. szerokich. Tunika przybrana skośną fałbanką 7 centy. szeroką, wyciętą w zęby i 4 cent. szerokiem oszyciem z plis. Na spódnicy dane są wolanty skośne wycinane w zęby i zakończone plisami. Wolanty stopniowo węższe od 10 do 15 cent. szerokości.



N. 29. Kokarda do głowy i do kołnierzyka.



N. 30. Grzebień i śpilki do ubrania głowy.



N. 31. Ubranie domowe. Przód do ryc. 32.



N. 32. Ubranie domowe. Plecy do ryc. 31.